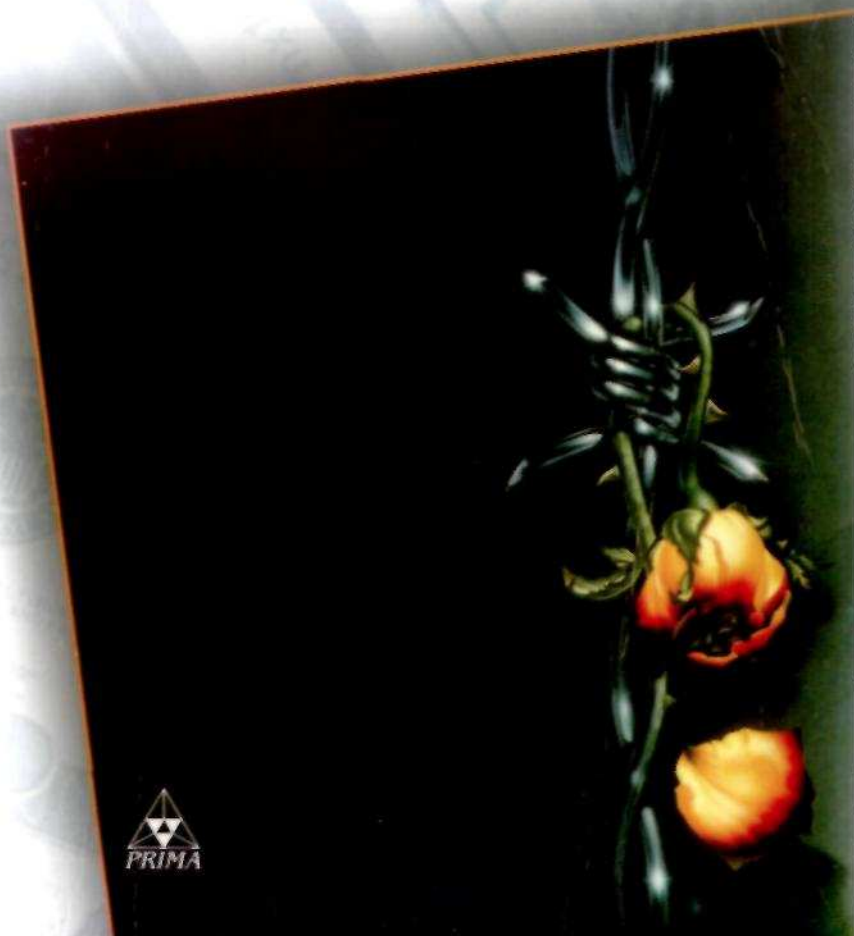


JACK
HIGGINS

wstąpić do piekła




PRIMA

Amerykański inżynier Matt Brady, oskarżony o morderstwo prostytutki, ucieka z więzienia i na własną rękę poszukuje rzeczywistego sprawcy zbrodni. Trop prowadzi go przez labirynt londyńskiego świata przestępczego, podejrzanych sekt religijnych i ekskluzywnych domów publicznych udających szacowne kliniki.

Komu zależy na zniszczeniu Matta? Kto zaplanował jego uwięzienie i skazanie na dożywocie? Z pomocą młodej aktorki Anne Dunning, jedynej osoby, która wierzy w jego niewinność, Brady musi znaleźć odpowiedź na te pytania – zanim ponownie znajdzie się w rękach policji. Jedyńm śladem, jakim dysponuje, jest wspomnienie niesamowitej twarzy, którą dojrzał kiedyś we mgle...

ISBN 83-7186-152-4



9 788371 861529

wstąpić do piekła

JACK
HIGGINS

wstąpić do piekła

Przełożył
TOMASZ WYŻYŃSKI



WARSZAWA 2002

Tytuł oryginału:
HELL IS TOO
CROWDED

Copyright © Harry Patterson 1962
Copyright © for the Polish edition by PRIMA
2002
Copyright © for the Polish translation by Tomasz
Wyżyński 1992
Cover illustration © David Scutt.

ISBN 83-7186-152-4

Prima Oficyna Wydawnicza sp. z o.o.
Wolska 45, 00-961 Warszawa
tel/fax: (22)-321-85-48
www: prima.waw.pl
e-mail: wydawnictwo@prima.waw.pl

Warszawa 2002.
Wydanie II Druk:
Abedik S.A., Poznań

Mojej ukochanej babce
MARGARET HIGGINS
BELL

I

Twarz, którą ujrzał przed sobą Matthew Brady, uwięziony w smudze cienia między jawą a snem, gdzie powstają dziwne fantasmagorie, zrodziła się na pozór z samej mgły, bezcielesna i lśniąca w żółtym świetle latarni. A było to oblicze, które trudno zapamiętać — chude, diaboliczne, ze sterczącymi kośćmi policzkowymi i głęboko osadzonymi, świdrującymi oczyma.

Oparcie ławki, z kutego żelaza, wrzynało mu się boleśnie w kark, czoło zaś pokrywały kropelki mżawki. Przymknął powieki i odetchnął głęboko. Kiedy znów otworzył oczy, był sam.

Z portu londyńskiego wypływał statek, a głuche dźwięki syreny mgielnej przywodziły na myśl ostatniego żywego dinozaura przedzierającego się przez pierwotne moczary, błąkającego się bez celu, samotnego w obcym świecie.

Podsumowywało to w pewien sposób sytuację Matta. Zadygotał lekko i sięgnął po papierosa. Paczka była prawie pusta, ale wyszperał jednego i zdołał go w końcu zapalić. Kiedy zaciągnął się dymem, Big Ben, dziwnie przytłumiony przez mgłę, wybił trzecią. Później zapadła cisza.

Czuł się zupełnie samotny, odgradzony od innych. Oparł się o murek nabrzeża pod latarnią, spojrzął przez mgłę na rzekę i spytał się w duchu: "Co dalej?" Odpowiedział tylko sygnał mgielny statku płynącego ku morzu; zabrzmiało to trochę jak pożegnanie.

Postawił kołnierz marynarki i odwrócił się, by odejść, gdy wtem z mgły wybiegła kobieta i wpadła prosto na niego, wydając przerażony okrzyk. Zaczęła się szarpać, a Brady ujął ją za ramiona, odsunął od siebie i potrząsnął delikatnie.

— Wszystko w porządku — powiedział. — Nie ma się pani czego obawiać.

Nosiła niemodny trencz ściągnięty mocno paskiem w talii i wiejską chustkę na głowie. Wyglądała na jakieś trzydzieści lat i miała owalną, inteligentną twarz. W świetle latarni w jej ciemnych oczach malował się lęk.

Wpatrywała się chwilę w Brady'ego, a później, jakby uspokojona, zaśmiała się nerwowo i oparła o murek.

— Był tam jakiś mężczyzna. Prawdopodobnie zupełnie niegroźny, ale wyłonił się z mgły tak nagle, że wpadłam w panikę i uciekłam.

Mówiła dobrze po angielsku, lecz z lekkim cudzoziemskim akcentem. Matthew wyjął paczkę papierosów i poczęstował ją.

— O tej porze brzeg Tamizy to nie miejsce dla kobiety. Nocują tu bardzo dziwne ptaszki.

W jego złożonych dłoniach błysnęła zapalka. Nieznajoma przypaliła papierosa i wydmuchała dym.

— Nie musi mi pan tego mówić. Mieszkam tuż za rogiem. Spędziłam wieczór w Chelsea, u przyjaciółki. Nie mogłam złapać taksówki, więc postanowiłam się przejść. — Roześmiała się. — Ale, szczerze mówiąc, pan

też nie wygląda na typa, który nocuje na ławkach nad Tamizą.

— Każdemu może się to przydarzyć — odparł.

— Ale nie komuś takiemu jak pan — ciągnęła. — Nie jest pan Anglikiem, prawda?

Pokręca przecząco głową.

— Pochodzę z Bostonu, w stanie Massachusetts.

— Ach, Amerykanin... — rzekła, jakby wszystko się wyjaśniło.

Zdobył się na zmęczony uśmiech.

— Niektórzy z moich amerykańskich przyjaciół nie zgodziliby się z panią w tej kwestii.

— Ma pan daleko do domu? — spytała. — A może zamierza pan spędzić tu noc?

Spomiędzy koron drzew kapały ciężkie krople wody, i Matthew ciałniej okręcił kołnierzem szyję, poczuwszy nagły ziąb. Kobieta zmarszczyła brwi.

— Powinien pan mieć przynajmniej płaszcz. Nabawi się pan zapalenia płuc.

— Co pani proponuje? — zapytał.

Ujęła go za ramię.

— Niech mnie pan odprowadzi do domu. Mam gdzieś w szafie stary płaszcz od deszczu. Może go pan wziąć.

Nie chciało mu się sprzeczać. Miał wrażenie, że opuściły go wszystkie siły, a gdy ruszył z miejsca, znów uderzyły mu do głowy opary whisky.

Otaczały ich gęste tumany mgły, niesione lekkim wiatrem. Przeszli przez jezdnię i ruszyli chodnikiem, na którym dźwięczały odgłosy kroków. Z konarów kapały bez przerwy krople deszczu, a kiedy skręcili w boczną uliczkę, minął ich samochód, niewidoczny w mlecznym obłoku.

Wysoko na ścianie narożnego domu Brady dostrzegł

staroświecką białą emaliowaną tablicę z niebieskim napisem: EDGBASTON GARDENS. Z przodu lśniła we mgle dziwna pomarańczowa poświata i z mroku wyłoniła się drewniana budka, koło której stał żarzący się koksownik.

Brady'emu mignęła niewyraźna postać dozorca siedzącego w budce. Jego twarz podświetlał ogień.

— Proszę uważać! — ostrzegła kobieta. — Jest tu gdzieś ogrodzony wykop. Naprawiają rury gazowe.

Kroczył tuż za nią, ona zaś obeszła żelazną balustradę, wspięła się po schodkach do drzwi i zaczęła szukać klucza w torebce. Willa stała na końcu ulicy; po bokach rozciągał się cmentarz, a na niebie majaczyła wieża kościelna.

Wszystko wydawało się ulotne i pozbawione treści, jakby miało się lada chwila roztopić we mgle. Matthew wszedł śpiesznie do hallu i czekał, aż kobieta zapali światło.

U stóp schodów stała pod ścianą antyczna wiktoriańska szafa z lustrem, w którym ujrzał za sobą otwarte drzwi. Mignęła mu kobieca twarz, stara i pomarszczona, z długimi kolczykami z dżetów. Kiedy zaczął się obracać, drzwi zamknęły się bez szmeru.

— Kim jest pani sąsiadka? — spytał.

Nieznajoma zmarszczyła brwi.

— Sąsiadka? Mieszkanie na dole stoi puste, więc może się pan nie martwić o hałas. Mieszkam na pierwszym piętrze.

Matthew podążył za nią na górę, wspierając się na poręczy i czując w głowie niezwykłą lekkość. Nie mógł się spodziewać, że w jednej chwili przyjdzie do siebie po dwudniowym pijaństwie, lecz wszystko otaczała dziwna, senna aura; miał wrażenie, że porusza się w zwolnionym tempie.

Drzwi do mieszkania kobiety znajdowały się na szczycie schodów. Otworzyła je i wprowadziła go do środka. Salon był umeblowany zdumiewająco elegancko. Podłogę pokrywał puszysty wełniany dywan, a dyskretnie rozmieszczone lampy rzucały przyćmione światło na różowe ściany.

Stał pośrodku pokoju i czekał. Zdjęła płaszcz i chustkę, przeciągnęła dłońmi po krótkich ciemnych włosach i zrobiła krok w jego stronę. Zachwiał się lekko, a ona wsparła go, kładąc mu ręce na ramionach.

— Coś nie tak? — spytała z niepokojem. — Źle się pan czuje?

— To nic. Przyjdę do siebie. Wystarczy dzbanek kawy i osiem godzin snu.

Jej ciepłe, ponętnie ciało znalazło się bardzo blisko. Brady poczuł nagle, jak opuszczają go gniew i frustracja towarzyszące mu przez ostatnie dwa dni. Cóż, sam dobrze wiedział, że istnieje tylko jedno lekarstwo na jego chorobę. Przyciągnął kobietę do siebie i pocałował lekko w usta.

Przez chwilę nie opierała się, lecz później odepchnęła go mocno, aż opadł na duży aksamitny fotel.

— Przepraszam — rzekł.

— Niech pan nie będzie niemądry. — Podeszła do barku stojącego pod ścianą po drugiej stronie salonu, zmieszała trunki i przyniosła szklaneczkę. — Zrobiłam panu klina. Proszę wypić! Postawi to pana na nogi. Ja zaparzę kawę, a później poszukam kocy. Może się pan przespać na kanapie.

Wyszła do kuchni, nim zdążył zaprotestować. Westchnął i wyciągnął się wygodnie w fotelu, rozluźniając zmęczone mięśnie.

Z czegokolwiek składał się koktajl — był dobry,

bardzo dobry. Brady wypił go gładko dwoma łykami i sięgnął po popierosa. Paczka była pusta, ale na niskim stoliku po drugiej stronie salonu stała srebrna kasetka na papierosy.

Wstał. Naraz pokój zawirował mu przed oczyma, a stolik zaczął przypominać obraz widziany przez odwrotny koniec teleskopu. Matthew zrobił niepewny krok do przodu i szklaneczka wysunęła mu się z bezwładnych palców.

Leżał na wznak i widział pochylającą się nad nim kobietę. Była zupełnie spokojna, niczym nie zdziwiona. W oddali otworzyły się i zamknęły drzwi.

Mężczyzna, który stanął za jej plecami, miał chudą, diaboliczną twarz z głęboko osadzonymi, świdrującymi oczyma, twarz z koszmaru widzianego ostatnio we mgle nad Tamizą.

Matthew otworzył usta, lecz ostrzegawczy krzyk uwiązł mu w gardle. Otoczyły go wirujące barwne kręgi i runął w mrok.

II

Bito go raz za razem po twarzy, a powtarzające się eksplozje bólu rozproszyły ciemność. Nie opodal słyhać było męskie głosy, przytłumione i niezrozumiałe. Później zaszumiała płynąca woda.

Ktoś chwycił go mocno za kark i wsadził mu głowę do umywalki. Matthew zachłysnął się lodowatą wodą, która wypełniła mu nos. Po chwili nacisk zelżał. Zaczerpnął kilka haustów powietrza, lecz nie trwało to długo. Znów wepchnięto go brutalnie pod wodę. Kiedy pozwolono mu się wyprostować, szumiało mu w uszach i był na poły uduszony, ale widział wszystko wyraźnie.

Znajdował się w małej łazience wyłożonej białymi kafelkami; z podłużnego lustra spoglądało nań własne odbicie. Twarz miał bladą i mizerną, oczy podpuchnięte, a na policzkach widać było zadrapania.

Koszulę pokrywała zakrzepła krew. Oparł się o umywalkę i popatrzył na siebie w oszołomieniu. Stał za nim dobrze zbudowany mężczyzna w sfatygowanym płaszczu przeciwdeszczowym; na jego pobrużdżonej twarzy lśniły twarde, nieprzyjazne oczy.

— Jak się czujesz? — spytał ostro.

— Pod psem! — wychrypiał Brady i własny głos wydał mu się obcy.

— I dobrze ci tak, ty sukinsynu! — rzucił nieznajomy i wypchnął go brutalnie z łazienki.

W salonie roіło się od ludzi. Przy drzwiach stał umundurowany policjant, a koło barku kręciło się dwóch cywilnych techników zbierających odciski palców.

Na skraju kanapy siedział z notesem w ręku wysoki, chudy, szpakowaty mężczyzna w rogowych okularach; słucał niskiego, zgarbionego starca, który stał przed nim, międląc nerwowo w dłoniach płócienną czapkę.

Kiedy Matthew wszedł do salonu, drobny staruszek zauważył go i po jego twarzy przemknął cień lęku.

— To właśnie on, panie inspektorze! — wykrztusił.

—

To ten facet!

Inspektor Mallory obrócił głowę i przyjrzał się spokojnie Brady'emu.

— Jest pan tego najzupełniej pewien, panie Blakey?

Przygarbiony mężczyzna skinął z przekonaniem głową.

— Dobrze go pamiętam, panie inspektorze. Wi działem wyraźnie, jak stał w drzwiach i zapalał światło.

Mallory przybrał znużony wyraz twarzy. Nabazgrał coś w notesie i skinął głową.

— Doskonale, panie Blakey. Niech pan wraca do pracy. Później złoży pan zeznanie na piśmie.

Niski staruszek ruszył w stronę drzwi, a Brady zapytał powoli:

— Co się tu właściwie dzieje, do licha?

Mallory obrzucił go chłodnym wzrokiem.

— Pokaż mu, Gower — polecił.

Detektyw, który przyprowadził Brady'ego z łazienki, pchnął go w stronę sypialni. Matthew zawahał się

w progu. Błysnął flesz; fotograf odwrócił głowę i spojrzał nań z ciekawością.

W pokoju panował straszliwy bałagan: cała podłoga była zasłana kosmetykami z toaletki, a firanki powiewały w podmuchach wiatru wpadającego przez wybite okno. Pościel częściowo zsunęła się na dywan, a przeciwległa ściana była spryskana krwią.

Inny detektyw klęczał i owijał ręcznikiem staroświecką laskę z fiszbinu. Była umazana krwią. Odwrócił głowę, spojrzał na Brady'ego i w sypialni zapadła nagle śmiertelna cisza.

Gower pchnął Amerykanina do szczytu łóżka. Tuż przy ścianie leżała pod kocem jakaś postać.

— Przyjrzyj się! — nakazał policjant, unosząc koc. — Dobrze się przyjrzyj!

Zdarto z niej ubranie, które wisiało w strzępach. Miała rozrzucone, zakrwawione nogi, ale najstraszniejsza była jej twarz, lepka, zastygła masa poszarpanego mięsa.

Matthew, któremu zebrało się na wymioty, odwrócił wzrok, a Gower zaklął i wypchnął go za drzwi.

— Chętnie bym cię wykastrował, ty zбочzona gni do! — szepnął ze złością.

Mallory w dalszym ciągu siedział na kanapie, lecz w tej chwili przeglądał paszport Brady'ego. Matthew spojrzał nań z trwogą.

— Myślicie, że ja to zrobiłem?!

Inspektor rzucił mu marynarkę.

— Niech pan to lepiej włoży; może się pan przeziębić. — Zwrócił głowę w stronę Gowera. — Zamknij go w drugiej sypialni. Ja za chwilę wrócę.

Brady usiłował coś powiedzieć, lecz nie mógł wykrztusić słowa, Gower zaś przepchnął go przez pokój do łazienki, a stamtąd do innej sypialni. Była mała

i skromnie umeblowana: znajdowała się w niej tylko kanapa pod oknem i szafa w ścianie. Posadził go na niskim drewnianym taborecie i pozostawił pod opieką młodego policjanta.

— Czy mógłbym dostać papierosa? — spytał Matthew, gdy detektyw wyszedł.

Policjant zawahał się, lecz po chwili rozpiął górną kieszeń munduru i wyjął porysowaną srebrną papierosnicę. Bez słowa poczęstował Brady'ego papierosem i wrócił na posterunek koło drzwi.

Matthew czuł się zmęczony, naprawdę zmęczony. W okno bębnił deszcz, papieros smakował jak suche liście i nic nie miało sensu. Otworzyły się drzwi i stanęli w nich Gower i Mallory.

Gower przeszedł szybko przez pokój z grymasem na twarzy.

— Kto mu to dał, do cholery?! — spytał ostro, wrywając papierosa z ust Brady'ego.

Matthew zaczął się podnosić, a detektyw zahaczył butem krzesło i pociągnął je, przewracając go na podłogę.

Brady wstał powoli, czując wzbierający gniew. Było to wreszcie coś namacalnego, czemu mógł stawić czoło. Grzmotnął Gowera pięścią w splot słoneczny, a gdy detektyw zgiął się wpół, huknął go w szczękę, odrzucając aż na przeciwległą Ścianę.

Młody policjant wyciągnął pałkę, Gower zaś wyprostował się powoli, z twarzą wykrzywioną wściekłością. Matthew chwycił oburącz taboret i cofnął się w kąt pokoju.

Kiedy zbliżali się do niego, Mallory odezwał się ostro:

— Nie bądź głupcem, Brady!

— Więc niech pan powie temu goryłowi, żeby się ode

mnie odczepił! — zawołał wściekle Matthew. — Jeśli tknie mnie palcem, rozwalę mu łeb!

Mallory zastąpił prędko drogę swoim podwładnym.

— Idź się umyć, George — rzekł do Gowera. — Zrób sobie w kuchni filiżankę herbaty albo kawy. Poślę po ciebie, jak będziesz potrzebny.

— Widziałeś przecież, co zrobił tej dziewczynie, na litość boską! — zawołał detektyw.

— Sam się tym zajmę! — uciął Mallory, w którego głosie zabrzmiała żelazna nuta.

Gower popatrzył wściekle na Brady'ego, po czym odwrócił się prędko i wyszedł z pokoju. Matthew postawił taboret na podłodze, a inspektor skinął głową w stronę policjanta.

— Poczekaj przed drzwiami — rozkazał.

Gdy drzwi się zamknęły, Mallory wyjął paczkę papierosów.

— Lepiej niech pan zapali następnego — powiedział. — Dobrze to panu zrobi.

— Racja — potwierdził Matthew. Zapalił papierosa podanego przez inspektora i usiadł ciężko na taborecie.

Mallory zajął miejsce na kanapie.

— Może ustalimy wreszcie pewne fakty, dobrze?

— Chce pan, żebym złożył zeznanie?

Inspektor pokręcił przecząco głową,

— Nie, na razie porozmawiajmy nieoficjalnie.

— To mi pasuje — stwierdził Brady. — Przede wszystkim, nie zabiłem jej. Nie znam nawet jej imienia.

Mallory wyjął z kieszeni fotografię i podał mu ją.

— Nazywała się Marie Duclos. Urodziła się w Paryżu i mieszkała w Anglii około sześciu lat. — Wyciągnął fajkę i zaczął ją nabijać tytoniem ze skórzanego kapiucha. — Zawodowa prostytutka. Początkowo

pracowała na ulicy, a gdy tego zakazano, wzorem większości swoich koleżanek po fachu kupiła sobie mieszkanie z telefonem albo kupił je dla niej ktoś inny. Fotografia była stara i wyblakła. Matthew zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

— Niezbyt podobna — mruknął.

— Nic dziwnego — odparł Mallory. — Jeśli pan spojrzy na drugą stronę, przekona się pan, że zdjęcie zrobiono w dniu jej osiemnastych urodzin, czyli przed dziesięcioma laty. Proszę lepiej powiedzieć, jak ją pan poznał.

Brady opowiedział mu wszystko po kolei, od przebudzenia nad Tamizą do wypadków w mieszkaniu.

Kiedy skończył, inspektor siedział chwilę w milczeniu, nieco zachmurzony.

— Czyli że pańska wersja wydarzeń przedstawia się w skrócie następująco: nad brzegiem Tamizy ujrzał pan we mgle mężczyznę, którego później widział pan ponownie w tym mieszkaniu, stojącego za Marie Duclos, a potem stracił pan przytomność?

— Chyba tak to można ująć.

— Innymi słowy, sugeruje pan, że zbrodnię popełnił ów mężczyzna?

— Nie mógł tego zrobić nikt inny.

— Tylko dlaczego, Brady? — spytał łagodnie Mallory. — Dlaczego postanowił zrzucić winę akurat na pana?

— Bo tu byłem — odparł Matthew. — Przypuszczam, że taki sam los spotkałby każdego pierwszego lepszego durnia, który przypadkiem by się tu znalazł.

— Ale skoro ten mężczyzna tu był, to gdzie się podział? — spytał cicho inspektor. — Z drzwi frontowych nie korzystał nocą nikt oprócz pana i niej. Dozorca zezna to pod przysięgą.

— Kto zawiadomił was o przestępstwie? — zapytał Brady.

Mallory wzruszył ramionami.

— Dozorca usłyszał kobiecy krzyk, a później przez okno wyrzucono świecznik. Zapukał do sąsiadów i prosił o zatelefonowanie na policję. Ani na chwilę nie spuszczał drzwi z oczu. Nikt nie wychodził.

— Musi być tylne wyjście.

Inspektor pokręcił głową.

— Z tyłu znajduje się tylko zachwaszczony ogród, oddzielony od cmentarza dwumetrowym ogrodzeniem z żelaznych prętów.

— Mimo to na pewno można się tamtędy wydostać — zaoponował Matthew. — A staruszka z dołu? Może ona coś widziała?

— Mieszkanie na parterze od dwóch miesięcy stoi puste. — Mallory znów pokręcił głową i westchnął. — Nie, Brady, pańska wersja wypadków w ogóle nie trzyma się kupy. Przede wszystkim twierdzi pan, że widział mężczyznę nad Tamizą przed spotkaniem z Marie Duclos. To po prostu bez sensu.

— Przecież nie mogłem jej zabić! — zawołał z rozpaczą Matthew. — Tylko wariat byłby w stanie zmasakrować kobietę w taki sposób!

— Wariat albo ktoś na tyle pijany, że nie wie, co robi — odpowiedział cicho Mallory.

Brady siedział w milczeniu, patrząc bezradnie na inspektora. Wszyscy sprzysięgli się przeciwko niemu i nie mógł zrobić nic, absolutnie nic.

Otworzyły się drzwi, wszedł młody policjant i wręczył Mallory'emu arkusz papieru.

— Sierżant Gower uważa, że pan inspektor powinien się z tym zapoznać.

Kiedy policjant wyszedł, Mallory prędko przebiegł oczami dokument.

— Coś mi się zdaje, że gdy poniosą pana nerwy, bywa pan bardzo porywczy, Brady — rzekł po chwili.

Matthew zmarszczył brwi.

— Do czego pan, u licha, zmierza?

— Zajrzeliśmy prędko do kartoteki, żeby sprawdzić, czy jest pan notowany. Przyleciał pan z Kuwejtu trzy dni temu i wygląda na to, że od tego czasu pije pan na umór. We wtorek wieczorem wyrzucono pana z pubu przy King's Road, gdy uderzył pan barmana, który ze względu na pański stan odmówił podania panu alkoholu. Później, jeszcze tej samej nocy, wszczął pan bójkę w klubie w Soho. Kiedy bramkarz usiłował pana wyrzucić, złamał mu pan rękę, ale właściciel lokalu nie wniósł oskarżenia. W końcu, o czwartej rano, został pan zatrzymany przez policję na Haymarket, pijany do nieprzytomności. Z moich informacji wynika, że wczoraj sąd skazał pana na dwa funty grzywny. Całkiem nieźle jak na jedną noc.

Matthew wstał i zaczął spacerować niespokojnie po pokoju.

— W porządku, wszystko panu opowiem.

Popatrzył przez okno na ulicę w dole. Pod latarnią stało kilku policjantów w pelerynach lśniących od deszczu.

— Jestem z zawodu inżynierem budowlanym. Moja specjalność to mosty, tamy i tym podobne. W zeszłym roku poznałem w Londynie dziewczynę imieniem Katie Holdt, Niemkę pracującą w Anglii jako niania do dzieci i uczącą się języka. Zadurzyłem się w niej po uszy i myślałem o żeniactwie, ale brakowało mi pieniędzy.

— I co pan zrobił? — spytał Mallory.

Brady wzruszył ramionami.

— Pojawiła się możliwość wyjazdu do Kuwejtu, na budowę nowej tamy. Pensja była niezwykle wysoka, bo brakowało chętnych. Miejscowe warunki są dość koszarne, głównie z powodu upału. Zgłosiłem się i pracowałem przez dziesięć miesięcy, przekazując swoje pobory Katie w Londynie.

Inspektor zrobił zboląłą minę.

— I wykiwała pana, co?

Matthew skinął głową.

— Przyleciałem trzy dni temu po dziesięciu miesiącach piekła i dowiedziałem się od jej chlebodawców, że kilka tygodni temu wróciła do Niemiec, by wyjść za mąż. — Uderzył się pięścią w otwartą dłoń. — I nic nie mogłem zrobić, do cholery, zupełnie nic! Nie byłem w stanie nic jej udowodnić.

— Więc postanowił się pan zalać — dokończył Mallory. — Zalać się w trupa, żeby o wszystkim zapomnieć.

Brady potrząsnął poważnie głową.

— W porządku, panie inspektorze, przyznaję: schlałem się jak świnia, wszcząłem nawet kilka bójek, ale, na Boga, nie zabiłem tej kobiety!

Mallory wstał. Podeszedł do niewielkiej toaletki i uniósł lusterko.

— Niech pan się sobie przyjrzy! — powiedział. — Niech pan się dobrze przyjrzy!

Krew z zadrapań przyschła, a strupy nadawały Brady'emu szpetny, ponury wygląd. Dotknął ich delikatnie opuszkami palców.

— Chce pan powiedzieć, że to jej robota? — wyszeptał.

Mallory skinął głową,

— Lekarz pobrał próbki krwi i skóry spod paznokci jej prawej ręki. Pana zbadamy na komisariacie.

Brady zacisnął pięści, by powstrzymać drżenie rąk.

— Jestem obywatelem amerykańskim. Chciałbym się skontaktować ze swoją ambasadą.

— Już ją zawiadomiono — odparł inspektor, otwierając drzwi do łazienki.

Matthew podjął ostatnią, desperacką próbę. Zatrzymał się w progu.

— Przeanalizujmy to wszystko jeszcze raz, Mallory. Musi być jakieś rozwiązanie.

— W tej chwili może panu pomóc tylko jedno, Brady, a mianowicie adwokat — stwierdził inspektor.

— Poproszę ambasadę, żeby załatwiła panu kogoś naprawdę dobrego. Przyda się panu solidny obrońca.

Przed drzwiami stał Gower, którego oczy załśniły złowrogo na widok wychodzącego Amerykanina. Policjanci wyprowadzili Brady'ego przed dom, zatrzymali się na szczycie schodów i Gower wyjął z kieszeni kajdanki.

Było ciągle mgliście i w asfaltową jezdnię uderzały strugi deszczu. Na ulicy stało kilka wozów policyjnych, a wokół balustrady tłoczyła się grupka gapiów, powstrzymywana przez dwóch policjantów. Wyglądało na to, że większość mieszkańców cichego zaułka wyległa na dwór, prawdopodobnie zbudzona niezwykle głośnym warkotem aut.

Gdy Gower zatrzasnął stalowe kółko na nadgarstku Amerykanina, Matthew zeszywniał nagle. W masie obcych twarzy rzuciła mu się w oczy jedna, którą dobrze znał. W tejże chwili roztopiła się we mgle gdzieś z tyłu.

Brady odepchnął Gowera i skoczył między gapiów, z kajdankami dyndającymi na rękach. Zaczął się przepychać do przodu; wtem podstawiono mu nogę i runął ciężko na ziemię. Kiedy wstawał, dopadło go kilku policjantów.

Gower wykręcił mu ramię, a zrozpaczony Brady odwrócił głowę ku zbliżającemu się inspektorowi.

— Widziałem go, Mallory! — zawołał. — Obserwował nas! Na pewno nie uciekł daleko!

W świetle latarni Mallory wydał się nagle bardzo zmęczony.

— Na litość boską, daj spokój, Brady! Nic ci to nie da!

Matthew straci! zupełnie panowanie nad sobą.

Uderzył

Gowera łokciem w twarz, wyrwał się i skoczył w tłum, młóćąc szaleńczo pięściami.

Nie miał żadnych szans. Strząsnął z siebie wczepionych ludzi i przywarł plecami do balustrady.

— No, chodźcie! — zawołał. — Chodźcie i weźcie mnie, sukinsyny!

Rzucili się nań wszyscy razem, prowadzeni przez Gowera. Brady uderzył detektywa w twarz, gdy nieoczekiwanie na jego prawe ramię spadła z łoskotem pałka. Uniósł lewą rękę, lecz ktoś wykręcił mu ją za plecami i przewrócił go na mokry chodnik. Policjanci kopali Brady'ego wściekle, miotając przekleństwa.

Do auta zdołało go wepchnąć dopiero sześciu.

III

Naczelnik więzienia w Manningham westchnął. Więźniowie, którzy przebywali jakiś czas w celi śmierci, zawsze wyglądali trochę jak zaszczute zwierzęta. A jednak to, że skazańców trzyma się w niepewności prawie do dnia egzekucji, po czym zamienia im się karę śmierci na dożywocie, było z pewnością barbarzyństwem. Trudno się dziwić, że pozostawia to ślady w ich psychice.

Była ósma wieczór i spóźnił się już na brydża. Złożył starannie plik dokumentów, schował do teczki i wyprostował się na krześle.

— To więzienie o zastrzonym rygorze, Brady — powiedział. — Można stąd wyjść tylko główną bramą. Właśnie dlatego was tu przeniesiono. Przekonacie się, że większość więźniów odsiaduje długoletnie wyroki albo dożywocie, podobnie jak wy. Macie jakieś pytania?

— Nie, panie naczelniku — odparł Matthew.

Światło lampy na biurku padało prosto na Brady'ego. W ciągu ostatnich trzech miesięcy twarz mu się wyostrzyła, a we włosach pojawił się cień siwizny. Oczy miał chłodne, twarde i pozbawione wyrazu. Sprawiał wrażenie kogoś bardzo niebezpiecznego.

— Jak rozumiem, w Wandsworth zaatakowaliście funkcjonariusza więzienia, prawda? — westchnął naczelnik. — Nie radziłbym robić tego tutaj.

— Żyłem wówczas w wielkim napięciu — wyjaśnił Brady.

Naczelnik nie podjął dyskusji i znów otworzył teczkę.

— Wiem, że jesteście z zawodu inżynierem budowlanym. Wykorzystamy wasze umiejętności. Budujemy nowy budynek, naturalnie wewnątrz murów. Nie widzę powodu, dlaczego nie mielibyście podjąć jutro pracy razem z innymi.

— Dziękuję, panie naczelniku! — powiedział Matthew.

— Nie muszę oczywiście wspominać, iż jest to przywilej, którego zostaniecie pozbawieni przy pierwszej oznace złego zachowania. Czy wyrażam się jasno?

— Tak jest, panie naczelniku!

Naczelnik uśmiechnął się krótko.

— Jeśli tylko będziesz potrzebował rady, wal do mnie jak w dym, synu. Właśnie po to tu jestem.

Wstał, dając do zrozumienia, że rozmowa jest zakończona, a oddziałowy wyprowadził Brady'ego z gabinetu.

Było to trzecie więzienie, w którym Matthew przebywał w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Idąc do magazynu odzieży, później do kuchni na kolację, a wreszcie do celi, rozglądał się ciekawie dokoła.

Więzienie w Manningham zbudowano w połowie dziewiętnastego wieku, w epoce reformy systemu penitencjarnego, wedle planu typowego dla brytyjskich zakładów karnych. Cztery trzypiętrowe bloki więzienne odchodziły niczym szprychy koła od środkowej wieży, wznoszącej się w mroku na czterdzieści pięć metrów i zwieńczonej oszkloną kopułą wspartą na dźwigarach z kutego żelaza.

Każdy blok, dla bezpieczeństwa, oddzielała od głównego hallu gęsta druciana siatka. Oddziałowy otworzył bramkę do bloku C i gestem nakazał Brady'emu wejść do środka.

Wspinali się po żelaznych schodach, aż znaleźli się na mrocznym najwyższym piętrze. Wszędzie panowała nienaturalna cisza, a wzdłuż poręczy bieгло wysokie metalowe ogrodzenie, mające powstrzymać ewentualnych amatorów skoków w dół. Matthew miał poczucie, że znalazł się w stalowym labiryncie, i zadrżał lekko, gdy oddziałowy przystanął koło ostatnich drzwi na korytarzu i otworzył je.

Cela okazała się większa, niż oczekiwał. Zauważył małe okratowane okienko, a także miednicę i kibel umocowany na stałe w rogu. Pod jedną ze ścian stała dwupiętrowa prycza, pod drugą zaś łóżko polowe.

Leżał na nim mężczyzna czytający czasopismo. Wyglądał na jakieś sześćdziesiąt lat i miał krótko ostrzyżone siwe włosy, intensywnie błękitne oczy i pomarszczoną, wesołą twarz.

— Masz nowego towarzysza, Evans — odezwał się oddziałowy. — Jutro zaczyna pracę na budowie. Za opiekuj się nim. — Zwrócił się w stronę Brady'ego. — Weź sobie do serca słowa pana naczelnika i uważaj. Graj uczciwie ze mną, to i ja będę grać uczciwie z tobą.

Drzwi zamknęły się z cichym szcęknięciem, a zgrzyt klucza przekręcanego w zamku miał w sobie coś ostatecznego.

— Graj uczciwie ze mną, to i ja będę grać uczciwie z tobą — prychnął z niesmakiem więzień na łóżku. — Co za bzdury! — Usiadł i wyjął spod poduszki paczkę papierosów. — Zapal, synu. Nazywam się Joe Evans. Ty jesteś Brady, tak?

— Zgadza się. — Matthew wziął papierosa. — Skąd wiesz?

Evans wzruszył ramionami i podał mu ogień.

— Dostaliśmy cynk z Wandsworth. Podobno próbo-
wałeś załatwić tam klawisza?

Brady usiadł na dolnej pryczy i zaciągnął się z rozkoszą
dymem.

— Czepiał się mnie od dnia, gdy tam trafiłem. Nie
mogłem dłużej wytrzymać.

— Gazety zrobiły z ciebie niezłego potwora, co? —
zaśmiał się Evans. — Spodziewałem się, że masz wielkie
kły i rogi.

Matthew wyszczerzył mimo woli zęby, a Evans od-
wzajemnił uśmiech.

— Dobra robota, synu. Nie pozwól tym skurwielom
się złamać. Jak najdą cię kiedykolwiek naprawdę czarne
myśli, pluń jakiemuś klawiszowi prosto w gębę. Ożywi
to trochę atmosferę, gwarantuję.

— O tak, już się o tym przekonałem — odparł
Brady. — Jak tu jest?

— Można wytrzymać. Niedługo wpakują na górną
prychę jakiegoś nowego, ale w dzisiejszych czasach to
normalne. Przenieśli mnie do Manningham trzy lata
temu, gdy urządzili tu specjalne więzienie dla recydywy.
Od tego czasu nikomu nie udało się prysnąć.

— Ile masz jeszcze do odsiedzenia?

Starszy mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

— To zależy od łaskawości sądu penitencjarnego.
Odsiedziałem już sześć lat i został mi tylko rok. Dawno
już bym wyszedł, gdybym zachowywał się grzeczniej na
początku. — Wydmuchał ku sufitowi strugę dymu. —
Nie ma się zresztą czym przejmować. Moja stara prowa-
dzi ładny mały pensjonacik w Kornwalii. Nigdy mnie tu
więcej nie zobaczą.

— Chyba gdzieś już to słyszałem.

— Mówię zupełnie poważnie — ciągnął Evans. — Coś ci powiem, synu. Wiesz, co mnie zgubiło? To, że jestem za dobry w swoim cholernym fachu. Kiedy wysadzam sejf, hałasu jest tyle, jakby ktoś beknął. Kłopot w tym, że robię to tak fachowo, iż gliniarze zawsze wiedzą, kogo się czepiać.

— Wygląda na to, że żyjesz tu całkiem wygodnie — zauważył Brady, zaciągając się papierosem.

Evans uśmiechnął się.

— Nie skarżę się. Miałaś szczęście, że wylądowałaś u mnie, synu.

— Co to za budowa, o której wspominał naczelnik?

— Nie mogą dać sobie rady z falą przestępczości, więc budujemy nowy blok na głównym dziedzińcu. Niezła robota. Lepsza niż szycie worków pocztowych albo siedzenie przez cały dzień na tyłku i wariowanie z nudów. Jak nie będziemy się za bardzo przemęczać, potrwa to jeszcze kolejne dziesięć miesięcy.

— Nie zamierzam tu gnić tak długo. — Matthew wstał, podszedł do okna i wyjrzał. Mur zewnętrzny, zwieńczony drutem kolczastym, miał przynajmniej dziesięć metrów wysokości; tuż za nim biegła magistrała kolejowa. Dalej, w jesiennym mroku, lśniły tu i ówdzie światła Manning-ham. Miasto zdawało się leżeć na innej planecie.

— Posłuchaj, synu — odezwał się poważnie Evans. — Nie wal głową w mur. To prosta droga do domu wariatów. Nikt nie potrafi stąd prysnąć. Tkwią tu od trzech lat i próbowałem każdego sposobu. To po prostu niemożliwe.

Brady uniósł się na łokciu i spojrzał na kasiarza.

- Ale ja muszę uciec. Wrobiono mnie. Ktoś zmasakrował tę dziewczynę i zwałił wszystko na mnie. Chcę wiedzieć kto i dlaczego.

— Historyjka, którą opowiedziałeś w sądzie, to zupełnie inna para kaloszy — stwierdził Evans. — Staraleś się, jak mogłeś, ale nic z tego nie wyszło. Tu wszyscy jesteśmy winni. Winni, żeśmy się dali złapać.

Matthew wzruszył bezradnie ramionami.

— Mam niekiedy wrażenie, że jestem jedynym normalnym człowiekiem wśród szaleńców. — Stał na przeciwko drzwi i dotknął ich palcami. — Gdybym tylko potrafił je otworzyć, tak na początek.

Evans wstał, podszedł do szafki, na której stała miednica, i wyjął metalową łyżkę do zupy.

— Cóż, wystarczy tylko poprosić.

Odepchnął Brady'ego i uklęknął koło drzwi. Zamek zasłaniała stalowa płyta o powierzchni około sześćdziesięciu centymetrów kwadratowych. Kasiarz zgiął prędko trzonek łyżki i wcisnął go między krawędź płytki a framugę. Kręcił nim przez chwilę, aż rozległ się szczeł. Pociągnął i drzwi uchyliły się.

— Wielki Boże! — szepnął Brady.

Evans zamknął delikatnie drzwi i znów zaczął poruszać łyżką. Rozległ się ponowny cichy szczeł. Kasiarz wstał.

— Niewiarygodne! — rzekł z podziwem Matthew.

Evans potrząsnął głową.

— Stara sztuczka. Potrafi to połowa więzienia. W wię-

kszości cel są stare zasuwki, założone wieki temu. Pewnego

dnia nabiorą rozumu i zmieniają je. — Uśmiechnął się szelmowsko. — Nic im to zresztą nie pomoże. Skopiuję

z pamięci każdy klucz, który widziałem przez pięć sekund.

Położył się z powrotem na łóżku i zapalił kolejnego papierosa.

— Coś się w tym wszystkim nie zgadza — rzekł Brady. — Przed chwilą mówiłeś, że nie można stąd prysnąć.

Starszy mężczyzna pokręcił współczująco głową.

— Zajaraj sobie, synu, a ja ci powiem, jak to naprawdę wygląda. Wydostanie się z celi to dopiero początek. Później trzeba sforsować bramkę oddzielającą blok od wielkiego hallu na dole. Aby wydostać się stamtąd na dziedziniec, trzeba przejść przynajmniej pięć kolejnych drzwi, a potem jest jeszcze brama zewnętrzna, istna forteca. Przepustkę musi pokazywać nawet naczelnik. — Pokręcił głową. — To więzienie to prawdziwa pułapka, synu. Siedzą tu same najgorsze sukinsyny. Właśnie po to tak je urządzili.

— Znajdę jakiś sposób — powiedział Matthew. — Daj mi tylko trochę czasu.

„Ale muszę się śpieszyć — rzekł sobie w duchu, leżąc na pryczy. — Dłużej tego nie wytrzymam”. Przymknął oczy i wydało mu się, że z mroku uśmiecha się doń czyjaś twarz — twarz, która nie odstępowała go podczas rozprawy i przez dwa tygodnie, gdy siedział niczym żywy trup w celi śmierci.

„Dlaczego ja? — pytał się. — Dlaczego właśnie ja?!” Ale odpowiedzi nie było i być nie mogło, dopóki nie wyrwie się na wolność i nie znajdzie jej. Położył się twarzą do Ściany, okręcił kocem i zapadł w niespokojny sen.

Następne dni zlały się w jedno. Każdego ranka po śniadaniu pięćdziesięciu więźniów wychodziło na dziedziniec na apel, a szef zmiany strażników przydzielał im zajęcia. Budowa nowego czteropiętrowego bloku była bardzo zaawansowana, lecz stalowa konstrukcja dachu wymagała jeszcze wielu robót wykończeniowych.

Evans pracował na górze jako spawacz, Brady zaś znalazł się pod jego komendą. Widząc zręczność, z jaką

Amerykanin posługuje się palnikiem, starszy mężczyzna usiadł i przyglądał mu się chwilę ze zdumieniem.

— Na Boga, synu! — zawołał. — Gdybyś poszedł do mnie na naukę, mógłbyś rozpruć każdy sejf! Masz wrodzony talent!

Matthew uśmiechnął się i uniósł okulary robocze.

— Nigdy się nie zmienisz, ty stary oszuście! Żle skończysz, mówię ci!

Evans poczęstował go papierosem. Przykucnęli w kącie między krzyżującymi się dźwigarami, patrząc w stronę miasta. Był chłodny jesienny dzień i w powietrzu czuło się pierwsze oznaki nadchodzącej zimy. Za wysokimi kominami ponurego miasta przemysłowego w Yorkshire rozciągały się fiołkowe moczary, delikatnie blaknące na widnokręgu.

— Na Boga, dobrze żyć w taki dzień! — westchnął Evans. — Nawet w mamrze.

Brady skinął głową i spojrzał na główny dziedziniec, gdzie nosili cegły więźniowie pilnowani przez kilkunastu strażników. Kłujące w oczy granatowe mundury nie pozostawiały żadnego złudzenia wolności.

Matthew spojrzał na szklaną kopułę środkowej wieży, a potem jego oczy podążyły wzdłuż dwunastometrowej rynny opadającej aż do dachu bloku D. Długi, wąski budynek stykał się z wieżą i kończył w odległości jakichś dziesięciu, dwunastu metrów od ściany zewnętrznej. Brady westchnął i cisnął niedopałek w dół. Trzeba by mieć skrzydła, żeby się stąd wydostać.

Kasiarz zaśmiał się cicho.

— Wiem, o czym myślisz, synu, ale to po prostu niemożliwe. Znajdujemy się w bardzo dobrym miejscu, bo więzienie widać stąd jak na dłoni. Jeśli znajdziesz sposób, żeby prysnąć, masz u mnie pięćset funciaków.

— Jeszcze ci o tym przypomnę. — Brady podniósł palnik. — A teraz wracajmy do roboty.

Przez następne dwa tygodnie trzymał język za zębami, ale każdego dnia, pracując na dachu nowego bloku, obserwował uważnie okolice, aż wreszcie znał na pamięć każdy szczegół więzienia. Ucieczka wymagała starannego planowania, ale zaczął mu już świtać pewien pomysł.

Tuż przed południem we wtorek dyżurny wezwał Brady'ego na dół i poinformował, że ma gościa. Czekając w kolejce przed salą widzeń, Matthew zastanawiał się, kto to może być. Nie miał przyjaciół w Anglii, a jego rodzice nie żyli. Siostra, mieszkająca w Bostonie, przyjechała na rozprawę i wróciła do Stanów.

Kiedy zwolniło się miejsce, dyżurny wprowadził go do sali i posadził w boksie. Brady czekał niecierpliwie, słysząc niewyraźne głosy dochodzące z obydwu stron. Wreszcie otworzyły się drzwi i do sali weszła młoda dziewczyna.

Miała około dwudziestu lat, krótkie ciemne włosy, bladą cerę, wystające kości pończokowe i ciemnobrązowe oczy. Nie była piękną, lecz zwróciłaby uwagę w każdej grupie ludzi.

Usiadła z wahaniem, najwyraźniej niezbyt pewna siebie.

— Nie zna mnie pan, panie Brady. Nazywam się Anne Dunning.

Matthew zmarszczył brwi.

— Przykro mi, ale nie bardzo rozumiem.

— Znał pan mojego ojca, Harry'ego Dunninga — wyjaśniła. — Podobno pracowaliście razem przy budowie tamy w Zembe w Brazylii.

Brady otworzył szeroko oczy i pochylił się do przodu.

— Więc jest pani córką Harry'ego Dunninga, tak?

Co u niego słyhać? Nie pisał do mnie, odkąd rozstaliśmy się w Nowym Jorku po zakończeniu robót w Zembe. Nie pojechał do Gwatemali?

Potrząsnęła głową, bawiac się nerwowo torebką.

— Ojciec nie żyje, panie Brady. Zmarł sześć tygodni temu w Coban. Miał groźny wypadek: spadł z rusztowania.

Matthew był szczerze poruszony.

— Bardzo mi przykro — odezwał się niezręcznie. — Pani ojciec był moim dobrym przyjacielem.

— Dokładnie tak samo wyrażał się o panu — rzekła dziewczyna. — Poleciałam do niego, gdy tylko zawiadomiono mnie o wypadku, i spędziłam z nim ostatnie dwa dni. Czytał o pańskich kłopotach. Mówił, że nie byłby pan zdolny do takiej zbrodni. Że na pewno pan nie kłamał. Podobno uratował mu pan kiedyś życie.

— To miło, że uwierzyła mi przynajmniej jedna osoba — stwierdził Brady.

Dziewczyna otworzyła torebkę i wyjęła staroświecki srebrny zegarek na łańcuszku. Przybliżyła go do drucianej siatki, by Matthew mógł mu się przyjrzeć.

— To dla pana. Kazał mi przekazać go panu osobiście. Chyba zostawię go w depozycie, żeby mógł pan go kiedyś odebrać.

Matthew pokręcił lekko głową.

— Nie przyda mi się w więzieniu. Niech go pani dla mnie przechowa.

— Mam to zrobić, naprawdę? — spytała.

Skinął głową.

— Może wyjdę stąd wcześniej, niż pani myśli, a wtedy wręczy mi go pani osobiście.

Wsunęła zegarek z powrotem do torebki i przybliżyła twarz do siatki.

— Ale przecież pańska apelacja została odrzucona, prawda?

— Och, liczę jeszcze na coś innego. — Uśmiechnął się i zmienił temat. — Lepiej niech mi pani powie coś o sobie. Skąd pani wiedziała, gdzie mnie szukać?

— Gazety pisały o pańskim przeniesieniu — wyjaśniła. — Jestem aktorką i występuję w tym tygodniu w musicalu w teatrze „Hipodrom” w Manningham. Wydało mi się to dobrą okazją, żeby się z panem zobaczyć. Zatelefonowałam dziś rano do naczelnika i nie miał nic przeciwko temu.

— A jak publiczność? Dopisuje?

Skrzywiła się.

— Ani trochę. Podobno zaczynamy trzymiesięczne tournée, ale coś mi się zdaje, że skończymy je w sobotę wieczór. — Westchnęła. — A już myślałam, że tym razem wreszcie mi się uda. Dobra drugoplanowa rola z trzema partiami solowymi, choć pewnie uważa pan to za zwykłą chałturę.

— Bardzo wiele bym dał, żeby siedzieć dziś wieczorem w pierwszym rzędzie, gdy wyjdzie pani na scenę — rzekł poważnie Matthew.

Uśmiechnęła się ciepło, mrużąc oczy.

— Ja też wiele bym dała, żeby pan tam był, panie Brady. Myślę, że ojciec miał rację. Sądzi pan, że pozwolą mi zobaczyć się z panem jeszcze raz przed wyjazdem z Manningham?

Pokręcił głową.

— Obawiam się, że nie, ale może pani napisać.

— Chętnie to zrobię — ucieszyła się. — Podam panu swój londyński adres.

Dyżurny trącił Brady'ego w ramię, a Amerykanin uniósł się z miejsca. Dziewczyna stała przez chwilę

w boksie, patrząc nań przez siatkę, i wydawało się, że chce powiedzieć coś jeszcze, lecz nie może znaleźć słów. Wreszcie odwróciła się gwałtownie i wyszła, Matthew zaś podążył za dyżurnym do stołówki, myśląc o niej przez całą drogę.

Kiedy po południu przerwali pracę na papierosa, Evans zagadnął go o dziewczynę.

— Kto to był, synu? Słyszałem, że wyglądała całkiem nieźle.

— Czy jest coś, o czym nie słyszałeś? — spytał Matthew.

Kasiarz uśmiechnął się przebiegle.

— Jeśli jest, nie warto tego wiedzieć.

Zanim Brady zdążył wymyślić stosowną odpowiedź, rozległa się syrena na fajrant, toteż złożyli narzędzia i zaczęli schodzić z rusztowania.

Więźniowie tłoczyli się na wąskim pomoście biegnącym wzdłuż trzeciego piętra. Brady kroczył z przodu, a gdy się odwrócił, by zejść po drabinie na niższy poziom, poczuł mocne pchnięcie w krzyż.

Runął głową w dół, wydając przerażony okrzyk, lecz nagle czyjeś ręce chwyciły go za drelichową kurtkę i szarpnęły w bok. Złapał się jakimś cudem barierki i wisiał na niej przez moment, po czym wgramolił się na bezpieczne miejsce.

Cały incydent trwał tylko chwilę i większość więźniów w ogóle go nie zauważyła. Brady oparł się o barierkę i otarł pot z czoła, a Evans przepchnął się do niego przez tłum.

— Nigdy w życiu nie miałem lepszego refleksu — powiedział.

— Widziałeś, jak to się stało? — zapytał Matthew.

Kasiarz pokręcił głową.

— Koło drabiny panował piekielny ścisk. Wszyscy chcieli jak najprędzej zejść.

— Chyba miałem szczęście, że byłeś pod ręką — stwierdził Brady.

Jednakże gnębiła go pewna myśl, drobna wątpliwość. Ktoś uderzył go ręką w krzyż i zepchnął w przepaść, był tego pewien. Tylko dlaczego? Nie miał w Manningham żadnych wrogów, a sama przyjaźń z Evansem zapewniała mu uprzywielejoną pozycję wśród współwięźniów.

Przyszło mu do głowy, by porozmawiać o tym z kasiarzem, ale postanowił dać spokój. Miał ważniejsze sprawy na głowie. Znacznie ważniejsze.

Owo niedopatrzenie o mało go nie zgubiło. Nazajutrz rano, tuż przed południem, pracował na trzecim piętrze, stojąc na pomoście wzdłuż elewacji budynku i spawając pękniętą rurę. Obok w płóciennym worku wciągano ręcznie cegły na dach.

Ocalał dzięki czystemu przypadkowi. Uniósł okulary robocze, by chwilę odpocząć, gdy wtem dostrzegł kątem oka jakiś ruch. Coś pędziło w jego stronę! Padł płasko na twarz, a wyładowany worek przeleciał mu nad głową i wychylił się leniwie poza pomost.

Matthew patrzył, jak worek wciągano z powrotem do góry. Zajmował się tym wysoki, śniady osobnik ze złamanym nosem i ciemnymi, kręconymi włosami. Wytrzymał spokojnie spojrzenie Brady'ego, po czym zniknął za okapem.

Matthew wspiął się po rusztowaniu na poddasze, gdzie zastał Evansa spawającego kątowniki w jednym z na poły wykończonych pomieszczeń na północnym krańcu budynku.

Brytyjczyk uniósł okulary i uśmiechnął się.

— Pora odpocząć i zajarać, co?

— Przed chwilą ktoś próbował mnie strącić z trzeciego piętra — powiedział Brady.

Kasiarz wstał powoli.

— Jesteś pewien?

— To już drugi raz w ciągu dwóch dni — ciągnął Matthew. — Ta wczorajsza historia koło drabiny to też nie przypadek.

— Wiesz, czyja to robota? — spytał starszy mężczyzna.

Brady skinął głową.

— Wyjdźmy na zewnątrz, to ci pokażę.

Po drugiej stronie pomostu ładował cegły na taczkę więzień ze złamanym nosem.

Evans zmarszczył czoło.

— To Jango Sutton. Trochę narwaniec. Odsiaduje siedem lat za rozbój. Zmasakrował żelaznym łomem siedemdziesięcioletniego stróża nocnego. Prawdziwy twardziel — dodał sarkastycznie.

— Wygląda trochę jak cudzoziemiec — zauważył Brady.

Kasiarz pokręcił głową.

— To podrzutek, Cygan. O ile wiem, mieszka w Manningham. Poślubił miejscową dziewczynę.

— Chcę wiedzieć, kto go na mnie napuścił.

Evans skinął posępnie głową.

— Nic prostszego. Przyprowadź go tutaj, a resztę zostaw mnie.

Sutton ciągnął po pomoście taczkę z cegłami, a Evans i Brady ukryli się za drzwiami i czekali. Kiedy Cygan przekroczył próg, Matthew chwycił go ręką za kark i pchnął z taką siłą, że Sutton przeleciał przez pokój, uderzył w przeciwległą ścianę i osunął się na podłogę.

— Hej, co to za głupie kawały?! — zawołał wstając.

— W ciągu ostatnich dwóch dni dwa razy usiłowałeś mnie strącić z rusztowania — stwierdził Brady. — Chcę wiedzieć dlaczego.

— Odpierdol się! — zawołał Sutton i rzucił się ku wyjściu.

Evans podstawił mu nogę, a Cygan potknął się i runął na twarz. Zaczął się szamotać i usiłował wstać, ale kasiarz powalił go kopniakiem i przykucnął obok niego z palnikiem w rękę. Nastawił płomień na maksymalną długość i uśmiechnął się drapieźnie.

— Chcemy tylko, żebyś zaczął się zachowywać rozsądnie, Jango.

Cygan oblizwał grube wargi, spoglądając z trwożną fascynacją na płomienistą białą igłę.

— Nie ośmielcie się!

— Ależ będziesz nam jeszcze dziękował! — odezwał się Evans. — Podgrzejemy ci mordę na pięć sekund, a po wyjściu z pudła zrobisz karierę jako aktor grający w horrorach. Nie będziesz potrzebował charakteryzacji.

— Oszalałeś! — zawołał z lękiem Sutton.

— To prawda, mogę oszaleć z wściekłości, jeśli nam nie powiesz, co chcemy wiedzieć — odparł Evans, którego głos stał się nagle zimny, twardy i absolutnie bezwzględny. — Lepiej zacznij gadać, chłopcze. Kto ci kazał strącić mojego kumpla z pomostu?

Sutton kręcił głową w obie strony i usiłował odpełznąć do tyłu. Evans chwycił go wolną ręką za gors bluzy i przybliżył palnik.

Sutton wierzgał dziko, wykrzywiając z przerażeniem twarz.

— Powiem wam, powiem! — wrzasnął histerycznie. — To Wilma, moja żona! Widziałem się z nią wczoraj rano! Gadała, że jak Brady będzie miał wypadek,

zarobię pięćset funtów. I jeszcze dwieście pięćdziesiąt, jeśli załatwię to przed niedzielą.

Matthew stał w drzwiach, obserwując jednym okiem pomost, gdzie mógł pojawić się klawisz.

— Kto jej to zlecił? — spytał groźnie.

— Nie wiem — wyjąkał Sutton. — Nie chciała powiedzieć.

— Łże — zawyrokował Matthew. — To bez sensu.

Evans posadził Suttona prosto i zbliżył palnik, którego płomień zaczął lizać czarne włosy Cygana.

— To święta prawda! — wrzasnął Sutton. — Pytałem, kto za tym stoi, ale nie puściła pary z ust!

Kasiarz zerknął na Brady'ego.

— W porządku?

Amerikanin kiwnął głową, a Evans postawił Suttona na nogi i trzymał go przez chwilę blisko siebie.

— Jeden fałszywy krok, chłopcze, a dopilnuję, żeby ci pocięto mordę na kawałki.

Odepchnął Suttona, a Cygan prześlizgnął się pod ramieniem Brady'ego i wypadł za drzwi. Evans wyłączył palnik i wyjął z kieszeni kurtki dwa papierosy.

— Coś z tego pojmujesz?

Matthew pokręcił głową.

— Wiesz coś o jego żonie?

— Prowadzi bar nad rzeką — wyjaśnił Evans. — Nazywa się „Oczko”. Potworna spelunka, możesz mi wierzyć. Ta baba zaczęła pracować na ulicy, jak miała czternaście lat.

Brady zapalił papierosa, stanął przy drzwiach i zamyślił się głęboko.

— O czym tak dumasz, synu? — spytał po chwili kasiarz.

— O wielu rzeczach — odparł Matthew. — Na

przykład o tym, że komuś bardzo zależy na mojej śmierci. Chcę wiedzieć dlaczego. Jeśli zdołam to ustalić, znajdę odpowiedź na pytanie, kto zamordował Marie Duclos.

— A jak się zamierzasz do tego zabrać? — spytał chytrze Evans.

Brady odwrócił się i uśmiechnął.

— Masz jak zwykle dobrego nosa. — Poszedł do rogu pokoju, wsadził rękę za kupę gruzu i cegieł i wyciągnął zwój konopnej liny. — Jest tego przeszło dziesięć metrów — powiedział. — I dwumetrowa pętla zapinana na karabińczyki. Trzymam to tu od tygodnia, a w materacu w celi mam ukryte obcęgi. To mi wystarczy.

— Do czego? — spytał Evans, marszcząc czoło.

— Pryska — wyjaśnił Brady. — Mam już trop: Wilnę Sutton. Wydobędę z niej, kto jej kazał mnie zamordować, choćbym musiał skuć jej głowę.

— Zwariowałeś! — zawołał Evans. — Przecież to niemożliwe!

— Jak ktoś się uprze, to wszystko jest możliwe — odparł Matthew. — Chodźmy na górę, pokażę ci.

Wyszli na pomost, wspięli się po rusztowaniu i przykucnęli w kącie między żelaznymi wspornikami.

— Miałeś rację, że wydostanie się z celi nic nie daje — rzekł Brady. — Nie ma żadnej szansy na przejście przez te wszystkie bramy i wartownie. Dlatego postanowiłem je ominąć.

— Jak chcesz to, do licha, zrobić?! — zdumiał się kasiarz.

Brady skinął głową w stronę szklanej kopuły.

— Zauważyłeś kiedyś klawisza kręcącego korbą w hallu, koło wejścia do naszego bloku? Do kopuły

biegnie stalowy drut przechodzący przez system wielokrzyżków i pozwalający otworzyć okienko wentylacyjne. Właśnie przez nie zamierzam zwiać.

— Chyba oszalałeś! — wykrzyknął Evans. — Wieża ma czterdzieści pięć metrów wysokości!

— Można się na nią wspiąć — powiedział Matthew. — Zamierzam przeciąć drucianą siatkę na końcu korytarza. Stamtąd dostanę się do żelaznych dźwigarów wspierających wieżę. Sięgają do samej kopuły.

— Nikt nie jest w stanie się na nie wdrapać — zawyrokował Evans. — Są prawie pionowe. To niemożliwe!

— Możliwe, jeśli się ma odpowiedni trening — stwierdził Brady. — Nie zapominaj, że jestem z zawodu inżynierem budowlanym. Pracowałem na mostach i innych wysokich konstrukcjach w wielu krajach świata. Włożę buty z gumowymi podeszwami i zrobię sobie z liny pętlę zastępującą pas bezpieczeństwa.

— Powiedzmy, że znajdziesz się na zewnątrz kopuły — powiedział Evans. — I co dalej?

— Dalej idzie w dół rynna prowadząca do dachu bloku D. — Brady kiwnął głową w tę stronę. — Przeczolgam się po dachu do komina pralni, a później zejść po linie do żelaznej rury biegnącej między pralnią a murem zewnętrznym. Tak naprawdę to jedyny słaby punkt więzienia, ale chyba nie przywiążą do niego większej wagi. Nikt nie jest w stanie dosięgnąć tej rury. Znajduje się dziesięć metrów nad ziemią.

— I ma dziesięć metrów długości — dokończył Brytyjczyk. — Nawet jeśli uda ci się dotrzeć tak daleko, możesz łatwo spaść i skrzyć kark.

— Pyskam — powtórzył z uporem Matthew. — Nic mnie nie powstrzyma.

Evans westchnął.

— Kiedy zamierzasz spróbować?

— W niedzielę wieczorem — odparł Brady. — O piątej zapada zmrok, a o szóstej zamykają nas na noc. Później w hallu głównym jest tylko jeden dyżurny, który sprawdza wszystkie bloki.

— To trochę ryzykowne — zatroskał się kasiarz. — Nosi miękkie bambosze i skrada się bezszelestnie jak duch. Nigdy nie wiadomo, gdzie się pojawi.

— Zaryzykuję — rzekł Matthew. — Jak będę miał szczęście, zauważą moją ucieczkę dopiero przy śniadaniu. Oczywiście nie obejdzie się bez twojej sztuczki z łyżką.

Evans uśmiechnął się pod wąsem.

— To nie wszystko, bez czego się nie obejdzie. Powiedzmy, że przejdiesz przez mur i dotrzesz do miasta. Skąd weźmiesz ubranie i pieniądze?

Brady wzruszył ramionami.

— Gdzieś się włamię. Zaryzykuję. Cóż innego mi pozostało?

— Mam wytrych, który zrobiłem sobie w warsztacie — powiedział kasiarz. — Chowam go w celi. Otworzy każdą zasuwę na świecie. — Uśmiechnął się. — No, prawie każdą. Jeśli zdołasz przejść przez mur, za torami kolejowymi i cmentarzem jest mały sklepik. Tandeciarnia handlująca starymi ubraniami. Możesz się tam przebrać. Przy odrobinie szczęścia znajdziesz nawet w kasie trochę forsy.

— Jesteś pewien? — spytał Brady.

Evans skinął głową.

— Pamiętasz, jak ci opowiadałem, że po przeniesieniu tutaj strasznie chciałem prysnąć? Kumpel z celi wpuścił mnie do warsztatu i pozwolił zrobić ten wytrych. Pomysł był świetny, ale nigdy nie wymyśliłem sposobu, żeby się wydostać. Teraz jest już za późno.

Matthew odwrócił się i spojrział na mur oddzielający więzienie od torów kolejowych i cmentarza. Sklep i wytrych znakomicie uzupełniły plan. Czuł się absolutnie spokojny, absolutnie pewny siebie.

Dopiero po syrenie oznaczającej południe, gdy schodził za Evansem po drabinie, zaczęły mu drżeć lekko ręce, bo postanowił uciec i nic nie mogło go powstrzymać.

IV

Brady wpatrywał się w ciemność przez szybę, którą smagały strugi deszczu. Po chwili odwrócił się i uśmiechnął z zaciśniętymi wargami.

— Pogoda jest idealna.

Evans stał pod drzwiami i nasłuchiwał. Zerknął do tyłu przez ramię i skinął głową.

— Zgadza się, synu. Jeśli masz prysnąć, to teraz.

Brady uniósł materac, wyciągnął zwój liny i zarzucił go sobie na ramię. Pętlę okręcił wokół talii, obcęgi wsadził do kieszeni i był gotów.

Evans klęczał już koło drzwi. Po chwili rozległ się cichy szcęk otwieranego zamka. Kasiarz wyjrzał ostrożnie na korytarz, po czym obrócił się i kiwnął głową.

— Zabrałeś wszystko?

Matthew poklepał go po ramieniu.

— Martwię się tylko o jedno. Nie będziesz miał jakichś kłopotów?

Evans uśmiechnął się.

— Jeszcze nigdy w życiu nic tak mnie nie zdumiało jak to, że otworzyłeś te drzwi. Przez całą noc spałem jak zabity. Może dosypałeś mi czegoś do jedzenia? — Brady

usiłował wymyślić zgrabną ripostę, a Evans znów się uśmiechnął. — Naprzód, synu! Wydostań się stąd. Powodzenia!

Korytarz był słabo oświetlony i w całym bloku panowała martwa cisza. Matthew stał przez chwilę, a później, gdy drzwi się zamknęły, pobiegł bezszelestnie w gumowych butach ku schodom.

Hall w dole oświetlała tylko jedna lampa i szklana kopuła była pogrążona w ciemności. Matthew wszedł na barierkę, po czym wspiął się po drucianej siatce, aż dotarł do jej części sufitowej. Przypiął prędko karabińczyki do siatki, by nie spaść, po czym wyjął obcęgi i zabrał się do pracy.

Zadanie okazało się zdumiewająco łatwe. Przeciął powoli sufit i część ściany, co zajęło mu zaledwie pięć minut. Kiedy skończył, wsunął obcęgi do kieszeni i rozsunął siatkę.

Pierwszy stalowy dźwigar, wsparty na gzymsie na ścianie hallu, znajdował się około dziewięćdziesięciu centymetrów w prawo. Matthew odpiął karabińczyki i wyciągnął ostrożnie rękę. Ledwo sięgał wspornika. Nabrał powietrza w płuca i posunął się nieco do przodu. Zahaczył na moment o siatkę, która zaczęła się uginać pod jego ciężarem, lecz uchwycił mocno krawędź szyny. Po chwili stał na gzymsie, wciśnięty między dźwigar a ścianę.

W hallu rozległ się szczeł zamykanych drzwi, a Brady wstrzymał oddech i czekał. W kręgu światła rzucałym przez lampę pojawił się strażnik, który przystanął przy swoim biurku. Zanotował coś w księdze dyżurów, po czym ruszył w stronę bloku A po przeciwnej stronie. Otworzył bramkę, zamknął ją i zniknął.

Matthew nie tracił ani chwili. Przewłókł linę wokół

dźwigara i owinał się nią w talii. Spiął karabińczyki, odchylił się do tyłu, napinając pętlę, i zaczął się wspinać.

„Nie jest to wcale gorsze niż praca na budowie — rzekł sobie w duchu. — Na przykład tamten most w Wenezueli, położony wysoko w górach Sierra, gdzie robotnicy ginęli jak muchy zwiewani z rusztowań przez wichury, był znacznie niebezpieczniejszy”. Jedyna różnica polegała na tym, że tam płacono mu za to — i to nieźle.

Zdławił w sobie obłąkańczą chęć wybuchnięcia śmiechem i spojrział w dół. Krąg światła zmalał, stał się tylko niewyraźną jasną plamką. Matthew poczuł, że więzienie oddala się od niego w jakiś tajemniczy sposób. Odetchnął głęboko i podążył wzwyż.

Kilka razy, mijając belki poprzeczne, musiał odpinać prymitywny pas bezpieczeństwa, ale jedyna prawdziwa trudność pojawiła się dopiero na skraju samej kopuły.

Szyna zakrzywiła się na przestrzeni ostatnich paru metrów, tak że dzieliła ją od ściany tylko wąska szpara, przez którą trudno było przewlec linę. Brady'emu nawet nie przyszła do głowy myśl o zaprzestaniu wspinaczki. Spojrzał ze swojego miejsca na poprzeczną belkę i niewielki krąg światła w dole, po czym wcisnął linę za wspornik i spiął karabińczyki.

Pierwszy metr nie był wcale taki trudny, ale gdy ściana zaczęła się zakrzywiać, musiał pokonać coś w rodzaju przewieszki. Napiał pętlę całym ciężarem ciała, zaparty stopami o szynę, i zaczął wspinać się mozolnie do góry, wygięty w łuk. Wiedział, że gdyby odchylił głowę do tyłu, mógłby spojrzeć prosto na światło w dole. W pewnej chwili stopa ześlizgnęła mu się z szyny i pętla zaskrzypiała złowieszczo. Poczł przyływ mdłości. Ścisnął desperacko stopy, pokonał za jednym zamachem piętnaście centymetrów, wyciągnął rękę i przerzucił ją przez gzyms.

Macał rozpaczliwie palcami, które zacisnęły się wreszcie na metalowej krawędzi. Zawisnął na jednej ręce, kołysząc się lekko, po czym rozpiął ostrożnie karabińczyki.

Równie starannie zawiązał sobie pętlę wokół talii. Wisiał w tej chwili pionowo. Uniósł drugą rękę, chwycił metalową krawędź i wdrapał się na gzyms.

Odpoczywał na nim przez chwilę, z trzęsącymi się lekko dłońmi, dysząc ciężko. Występ był tak wąski, że Matthew leżał przyciśnięty do zakrzywionych szyb kopy. Okienko wentylacyjne znajdowało się po przeciwnej stronie i zaczął się czołgać ostrożnie dokoła.

Gzyms pokrywała gruba warstwa kurzu, który wzbijał się i płynął tumanami w ciemność, świdrując Brady'emu w nosie, aż o mało nie zaczął kichać.

Okno było zamknięte. Pchał je dłonią, lecz ani drgnęło, więc wyjął z kieszeni obcęgi i przeciął stalową linkę biegnącą do korby na dole. Chwycił ucięte końce i przełożył je ostrożnie przez metalowy uchwyt, po czym otworzył okno i wyczołgał się na zewnątrz.

Widok był wspaniały. Wśród strug deszczu błyskały światła Manningham, a torami przejechał pociąg, którego gwizd rozszedł się echem po okolicy. Matthew odetchnął świeżym powietrzem i poczuł dziką euforię.

Rynna, pochodząca jeszcze z epoki wiktoriańskiej, była kwadratowa, żeliwna i tak solidnie przytwierdzona do ściany, jakby jej budowniczowie pragnęli, by przetrwała równie długo jak cały gmach.

Bez namysłu zsunął się z gzymsu, wisiał chwilę na kwadratowym leju u góry i zaczął schodzić, co okazało się łatwiejsze, niż przypuszczał, bo między rynną a ścianą była kilkucentymetrowa szpara.

Po minucie znalazł się na kalenicy dachu bloku D. Na

dziedzińcu przed wartownią przy bramie głównej stał samochód. Z bloku wyszedł dyżurny, pochylił się i powiedział coś do kierowcy. Po chwili dał znak ręką, a brama otworzyła się i auto opuściło więzienie. Prawdopodobnie naczelnik, jadący jak zwykle na wieczornego brydża. Matthew uśmiechnął się mimo woli. Tego sukinsyna czeka jutro ciężki dzień.

Jął bez trudu posuwać się okrakiem wzdłuż kalenicy, opierając się rękami na dachówkach. Komin pralni był jeszcze ciepły; skulił się obok niego i spojrzął w dół.

Nic nie widział. Przypomniał sobie słowa Evansa, który powiedział, że może dotrzeć tak daleko, a potem spaść i skręcić kark. Poczłł ciarki przebiegające po plecach, lecz odsunął od siebie czarne myśli, przykucnął koło komina i rozwinął prędko zwój konopnej liny.

W pewnym sensie była to najtrudniejsza część całej operacji. Nie mógł przywiązać liny do komina, bo musiał zjechać na niej z muru otaczającego więzienie. Przeciągnął ją za kominem, stał przez chwilę w rozkroku, ściskając oba końce w rękach, po czym ją opuszczał z okapu.

Poślizgnął się na mokrych ceglach i zakołysał w obydwie strony. Zdarł sobie skórę z knykci, a na koniec uderzył boleśnie nogami w rurę.

Usiadł na niej okrakiem tyłem do ściany i ściągnął ku sobie linę za jeden z końców. Zwinał ją prędko, przewiesił przez pierś i rozpoczął powolną wędrówkę po rurze.

W ciągu kilku ostatnich minut, gdy poruszał się w prawie zupełnym mroku, wydawało mu się, że czas stoi w miejscu. Wszystkie dźwięki były przytłumione. Wciągnął dłoń, natrafił na chropawy mur i ujrzał nad sobą jego górną krawędź z drutami kolczastymi rysują-

cymi się ciemną linią na tle nocnego nieba; nagle wydało mu się, że śni.

Rozwinął prędko linę, przywiązał do rury i przerzucił na drugą stronę. Wymacał palcami płytką szczelinę między kamieniami i wstał.

Krawędź znajdowała się tuż nad jego głową. Podciągnął się na rękach, rozgiął ostrożnie zardzewiałe druty i zjechał do końca liny. Wisiał na niej przez chwilę, po czym zeskoczył z wysokości dwóch metrów na trawę na szczycie nasypu nad torami kolejowymi.

Był cały mokry. Ujrzał nadjeżdżający pociąg, położył się z walącym boleśnie sercem na wilgotnej trawie i wtulił w nią twarz. Kiedy pociąg zniknął w ciemności, a w powietrzu rozbrzmiewał jeszcze daleki gwizd lokomotywy, wstał i zbiegł z nasypu, nie oglądając się na mur wznoszący się z tyłu.

Gdy przeszedł przez tory i wspiał się na nasyp po przeciwnej stronie, zegar wybił szóstą trzydzieści. Dwadzieścia minut od wyjścia z celi — tyle zajęła ucieczka. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, strażnicy odkryją jego nieobecność dopiero za dwanaście godzin, podczas rannego obchodu.

Przeszedł przez niski mur kościoła i ruszył ostrożnie między nagrobkami. W wysokich oknach świątyni lśniły światła; słychać było pierwsze tony hymnu granego na organach. Po chwili rozległ się śpiew wiernych, których głosy popłynęły w ciemność.

Brady domyślił się, że zaczęło się nabożeństwo wieczorne. Obszedł kościół wzdłuż zewnętrznego muru i wyślizgnął się przez główną bramę.

Była to uboga dzielnica, a wzdłuż spadzistej ulicy stał rząd przylegających do siebie, odrapanych jednopiętrowych domów. Sklep ze starzyzną znajdował się na

rogu w odległości jakichś dwudziestu, trzydziestu metrów. Obok przejechała pędem furgonetka, której opony zapiszczały na mokrym asfalcie. Później zapadła cisza.

Przechodząc przez jezdnię, Brady wyjął z kieszeni wytrych. Nagle ogarnęły go mdłości i po raz pierwszy zaczął się naprawdę bać. Może Evans przecenił swoje umiejętności? Może wytrych nie będzie pasować?

Dotarł do ciemnego wejścia do sklepu, zawahał się na moment i pochlił nad zamkiem. Wymacał go palcami; wytrych obrócił się gładko. Po chwili Matthew stał w środku, oparty plecami o drzwi, dygocąc ze zdenerwowania.

Za ladą widać było następne drzwi. Obszedł szybko sklep i otworzył je. Znalazł się w pomieszczeniu z niewielkim okienkiem wychodzącym na ciemne podwórze, zaciągnął zasłony i zapalił światło.

Był to magazyn odzieży, wypchany od podłogi do sufitu. Większość ubrań wyglądała na pochodzące z drugiej ręki; czym prędzej wyszukał porządny tweedowy garnitur i wybrał parę butów ze stosu w rogu. Na półkach znalazł resztę potrzebnych rzeczy.

W kącie stała miednica. Wisiało nad nią lustro i szybko przyjrzał się sobie. Zobaczył twarz obcego człowieka ze sterczącymi kośćmi policzkowymi i włosami przylepionymi do czaszki.

W magazynie był tylko kran z zimną wodą, ale Matthew rozebrał się i zmył z ciała brud, po czym wytarł się mocno do sucha. Garnitur pasował jak ulał; zmienił ubranie, wepchnął strój więzienny pod stos starych łachów i wrócił do pomieszczenia sklepowego.

Evans miał rację. W kasie znajdował się utarg. Trzy funty w banknotach dziesięcioszylingowych i dwa w srebrnym bilonie. Wsunął pieniądze do kieszeni marynarki,

przejrzał rząd płaszczy i wybrał tani trencz, po czym znalazł kapelusz na jednej z półek. Był o numer za duży, ale gdy Matthew włożył go na bakier, zaczął się prezentować jako tako.

Podszedł do drzwi i otworzył je. Z ulicy nie dochodził żaden dźwięk. Zamknął je cicho i odszedł szybkim krokiem, a śpiewy dochodzące z kościoła roztopiły się w mroku za jego plecami.

Lało jak z cebra, toteż podniósł kołnierz płaszcza; po chwili przystanął, by kupić w automacie papierosy i zapalki. Papieros smakował inaczej; Matthew doszedł do wniosku, że to smak wolności, i po raz pierwszy od kilku miesięcy poczuł się naprawdę żywy.

Jedną z zalet pracy na budowie nowego bloku więzienia było to, że wyrobił sobie niezłe pojęcie o topografii miasta. Szedł pustymi ulicami, kierując się w stronę rzeki, i znalazł „Oczko” ze zdumiewającą łatwością, spytawszy o drogę młodego człowieka, który czekał na rogu na dziewczynę.

Lokal mieścił się w starym narożnym budynku na brukowanej ulicy prowadzącej do przystani barek rzecznych. Nad wejściem wisiał krzykliwy neon i tablica z napisem: WSTĘP TYLKO DLA CZŁONKÓW KLU-BU. Matthew otworzył drzwi i wszedł do środka.

W długim, ciemnym korytarzu o brudnobrązowych ścianach panował nieprzyjemny zaduch. W przeszklonej budce pod schodami czytał gazetę stary siwowłosy portier w wypłowiałym niebieskim mundurze z pociemniałymi złotymi galonami.

Uniósł głowę, lustrując beznamiętnie Brady'ego bladymi wodnistymi oczyma.

— Wstęp do klubu jest zastrzeżony tylko dla członków! — oznajmił chłodnym, bezbarwnym tonem.

Matthew pochylił się nad okienkiem i uśmiechnął się.

— Bawię w Manningham tylko przejazdem. Dowiedziałem się od przyjaciela, że „Oczko” to miejsce, gdzie się można dobrze zabawić.

— Musi pan mieć członka wprowadzającego, szanowny panie — rzekł starzec. — Tak głosi regulamin.

Matthew wyjął banknot dziesięcioszylingowy i rozprostował go w palcach.

— Wielka szkoda, zwłaszcza że spędzam w Manningham tylko jedną noc.

Portier odkasznął i odłożył gazetę. Popchnął w stronę Brady'ego opasłą księgę i wręczył mu pióro.

— Cóż, w takim razie chyba możemy uczynić dla pana wyjątek. Obawiam się jednak, iż będzie pan musiał uiścić wpisowe w wysokości jednego funta.

— Uiszczę je z przyjemnością — odparł Matthew. Wpisał się do księgi jako Johnson i wręczył starcowi trzy banknoty dziesięcioszylingowe. — Gdzie mam się udać?

— Schodami na górę. Proszę się kierować w stronę muzyki.

Wdrapał się prędko na pierwsze piętro. Przynajmniej udało mu się wejść. Teraz musiał zdać się wyłącznie na intuicję.

Na końcu korytarza znajdowała się niewielka szatnia, w której siedziała młoda, krzykliwie umalowana dziewczyna mająca co najwyżej szesnaście lat. Malowała sobie ze znudzoną miną paznokcie.

Przyjęła płaszcz Brady'ego i wręczyła mu numerek.

— Jest dziś Wilma? — rzucił niedbałym tonem.

Szatniarka skinęła głową.

— Przed pięcioma minutami, jak zaglądałam do środka, piła przy barze.

Główna sala klubu powstała przez wyburzenie ścianek

działowych kilku mniejszych pomieszczeń. Ciasno stłoczone stoły i krzesła otaczały miniaturowy parkiet taneczny, a muzyka dochodziła z wielkiej mosiężnej szafy grającej ustawionej w kącie.

Było jeszcze stosunkowo wcześnie i lokal świecił pustkami. Dwie pary tańczyły, trzecia zaś siedziała przy stoliku i piła.

Matthew ruszył w stronę baru. Idąc dostrzegł w lustrze swoje odbicie i zdziwił się, że garnitur leży na nim tak dobrze. O ścianę opierał się barman pucujący kieliszki. Miał kędzierzawe włosy, twarz cherubinka i wyglądał na Greka albo Cypryjczyka.

Brady zamówił dla pozorów podwójną brandy i spojrzał wymownie na kobietę siedzącą za rogiem szynkwasu i czytającą czasopismo.

— Proszę spytać tę panią, czy zechce się ze mną napić — zwrócił się do barmana.

— Napijesz się, Wilmo? — odezwał się młody człowiek.

Kobieta uniosła głowę i otaksowała Brady'ego spokojnym, krytycznym wzrokiem. Po chwili uśmiechnęła się.

— Czemu nie? Nalej mi dżinu z tonikiem, Dino.

Głowę miała otoczoną jasnym tapirowanym puchem. Okrążyła szynkwasa i stanęła dwa metry od Brady'ego, wsparłszy dłoń na biodrze.

— Skądś się znamy?

Matthew zdawał sobie sprawę, że jej wyzywająca poza jest starannie przemyślana. Wyglądała, jakby nie nosiła absolutnie nic pod obcisłą sukienką i była z tego dumna. Miała sterczące, pięknie uformowane piersi, lekko zaokrąglony brzuch, długie, smukłe nogi i drobne stopy.

Była cholernie atrakcyjna — prawie doskonała jako

kobieta. Obraz psuła tylko jej twarz, zmysłowa, tępa i wulgarna, z oczami chłodnymi, wyrachowanymi i przebiegłymi. Kojarzyła się z pyskiem zwierzęcia.

— Nie, jestem w Manningham po raz pierwszy — odpowiedział z uśmiechem.

Usiadła na wysokim stołku obok niego, obnażając nogę aż po udo.

— To zabawne, mogłabym przysiąc, że gdzieś już pana widziałam. Jest pan Amerykaninem, prawda? Mamy tu kupę Amerykanów. Pod miastem jest baza lotnicza.

— Przyjechałem z Londynu w interesach — rzekł Brady. — Rano wracam. Postanowiłem trochę się zabawić przed wyjazdem.

— Cóż, zobaczymy, co się da zrobić, nie? — Dopięła dzin i zsunęła się ze stołka. Przyglądała sukienkę na krągłych biodrach i uśmiechnęła się zapraszająco. — Zatańczymy?

Przecisnęli się między stolikami, a ktoś wrzucił monetę do szafy grającej, z której popłynęła nastrojowa senna melodia z saksofonem łkającym gdzieś w tle.

Wilma utonęła w objęciach Brady'ego, przytulając się doń smukłym ciałem i obejmując go ramieniem za szyję. Kiedy krążyli po maleńkim parkiecie, przycisnął ją mocno do siebie.

— Hej, uważaj! Złamiesz mnie! — zawołała.

Uśmiechnął się.

— Co ty sobie właściwie myślisz? Że jestem z kamienia?

— Jeszcze się przekonamy.

Przebywał tak długo z dala od kobiet, że bez trudu odgrywał swoją rolę. Pogłaskał ją dłonią po plecach i szepnął namiętnie:

— Nie ma tu jakiegoś miejsca, gdzie moglibyśmy pójść, na litość boską?!

— Pewnie, że jest — odparła spokojnie. — Ale nie za darmo.

— Wobec tego chodźmy — zdecydował.

Ruszyła przodem, wyszła z sali i skierowała się w głąb korytarza. Wspięli się schodami i znaleźli na mrocznym drugim piętrze. Wreszcie Wilma otworzyła drzwi i wprowadziła go do ładnie umeblowanej sypialni.

Ściany, pomalowane na pastelowe odcienie błękitu, kontrastowały z różowymi dywanami. Umeblowanie ograniczało się do szerokiego łóża stojącego pod ścianą i niewielkiego stolika z telefonem przy wezglowiu.

Wilma wyłączyła górne światło i pstryknęła drugim kontaktem, włączając lampy ukryte w ścianach. Wypełniły one pokój delikatną poświatą. Brady stał tuż za drzwiami, a dziewczyna przekręciła klucz w zamku i zarzuciła mu rękę na szyję.

Cokolwiek można było o niej powiedzieć, z pewnością znała się na swoim fachu. Kiedy rozchyliła usta podczas pocałunku, Matthew poczuł ciarki biegnące wzdłuż kręgosłupa. Przycisnął ją do siebie, odwzajemniając chciwie pocałunek.

Po chwili odsunęła się od niego i położyła na łóżku, opierając głowę na poduszce.

— Im dłużej ci się przyglądam, tym bardziej jestem pewna, że gdzieś cię już widziałam.

Brady zapalił papierosa i wydmuchał kłęb dymu.

— Nic dziwnego — rzekł spokojnie. — Moje zdjęcia były nie tak dawno na pierwszych stronach gazet. Nazywam się Matthew Brady.

Przez chwilę panowała śmiertelna cisza, a oczy Wilmy rozszerzyły się ze zdumienia.

— Brady! — szepnęła. — Przecież to niemożliwe!

— Przykro mi, aniołku, ale muszę cię rozczarować.

To naprawdę ja. Zaledwie przed godziną prysnąłem z więzienia.

Usiadła, opuściła nogi na podłogę i rozgniotła papierosa w popielniczce.

— Czego chcesz, Brady? — spytała spokojnie, odzyskawszy panowanie nad sobą.

— Nie mam czasu na pogawędki, więc będę się streszczał — ciągnął Matthew. — Wczoraj Jango usiłował wyprawić mnie na tamten świat. Po krótkiej rozmowie przyznał, że to ty go do tego namówiłaś. Chce wiedzieć dlaczego.

— Nie twój zasrany interes! — syknęła. — Wynoś się stąd, bo wezwę policję!

Próbowała wstać, lecz Brady spoliczkował ją wierzchem dłoni, pchnął z powrotem na łóżko i chwycił za gardło.

— Lepiej posłuchaj, ty nędzna dziwko! Jak napuścisz na mnie gliny, teraz albo kiedy indziej, dopilnuję, żeby beknął za to Jango. Mam w mamrze kumpli, dobrych kumpli. Wystarczy jedno moje słowo, a zrobią mu z mordy befsztyk tatarski!

Spojrzała nań wściekle, ale w jej oczach pojawił się lęk — prawdziwy lęk, i Matthew wiedział, że uderzył we właściwy ton. Zależało jej na tym Jangu.

Puścił ją, a ona usiadła, masując dłonią szyję.

— Co chcesz wiedzieć? — spytała apatycznie.

— To już lepiej — rzekł Brady. — Znacznie lepiej. Kto ci kazał napuścić na mnie Janga?

Wyjęła papierosa z kasetki stojącej przy telefonie i pstryknęła zapalniczką.

— Gość nazywa się Das — powiedziała. — To Hindus, szef lipnej sekty religijnej o nazwie Świątynia Spokoju. Urzęduje niedaleko stąd, koło teatru „Hipodrom”.

Matthew zmarszczył brwi.

— Nic z tego nie rozumiem. Nawet o nim nie słyszałem.

Wzruszyła ramionami.

— Mówię prawdę. Macza palce we wszystkich ciemnych interesach w tym mieście, od prochów do dziewczyn. Przyszedł do mnie we środę. Mówił, że ma klienta, który chce, żeby przydarzył ci się w więzieniu śmiertelny wypadek. Obiecał pięćset funtów, jeśli Jango to załatwi.

— I dodatkowe dwieście pięćdziesiąt pod warunkiem, że zrobi to do niedzieli — dokończył Brady.

Prostytutka skinęła głową.

— Zgadza się. Jeśli chcesz się dowiedzieć czegoś więcej, musisz iść do Dasa.

— Tak też zamierzam zrobić — stwierdził Matthew. Podeszedł do drzwi, przekręcił klucz i odwrócił się.

— Pamiętaj, co ci powiedziałem, Wilmo. Jeśli przez ciebie wpadnę, to koniec z twoim ślicznym Jangiem.

Wyrzuciła z siebie wulgarne, ryszotkowe przekleństwo, a Brady zamknął cicho drzwi i odszedł korytarzem.

Młoda szatniarka miała w dalszym ciągu znudzoną minę. Wręczyła mu obojętnie kapelusz i płaszcz, a on ubrał się, podążył schodami na dół i wyszedł na deszcz.

V

Kiedy oddalał się od klubu, znad rzeki powiał wiatr niosący mdły, wilgotny zapach gnijących liści, który wypełniał go dziwnym, irracjonalnym podnieceniem.

Prędko kroczył opustoszałymi ulicami w stronę centrum miasta, patrząc na strugi deszczu lśniące srebrzyście w światłach latarni. Od czasu do czasu mijał go samochód albo przechodzień śpieszący chodnikiem z pochyloną głową.

Natknął się na starca w postrzępionym płaszczu i półciennej czapce, stojącego w bramie na rogu głównej ulicy handlowej i usiłującego sprzedać ostatnie pół tuzina gazet niedzielnych. Kupił jedną, a staruszek otarł wierzchem dłoni kapkę wody z nosa i wyszedł na deszcz, by pokazać mu drogę.

Najpierw dotarł do teatru „Hipodrom”, mieszczącego się w wysokim secesyjnym gmachu z frontonem z marmuru. Z boku znajdował się wąski zaułek wiodący do wejścia dla artystów. W szklanych gablotkach wisiały w dalszym ciągu zdjęcia reklamujące musical grany w tym tygodniu i Brady odruchowo przystanął i zaczął je przeglądać w poszukiwaniu Anne Dunning.

Znalazł kilka jej fotografii, w większości przedstawiających ją w sztucznych, malowniczych pozach w otoczeniu dwóch albo trzech młodych tancerzy, ale był także jeden portret, który oddawał ją naprawdę wiernie. Patrzył przez chwilę na zdjęcie, wspominając jej dobroć, po czym westchnął i odszedł.

Świątynia Spokoju znajdowała się tuż za rogiem. Na ulicy parkowało wiele samochodów, a gdy Matthew kroczył chodnikiem, przy krawężniku zatrzymał się duży czarny mercedes, który ochlapał go wodą z rynsztoka.

Rozgniewany Brady odwrócił się.

— Nie ma pan oczu, do cholery?!

W mrocznym aucie mignął filcowy kapelusz i opalizujące okulary, po czym błysnęły białe zęby.

— Bardzo przepraszam — rzekł kierowca, ledwo zauważalnie sepleniąc, i pojechał dalej, gdzie przy krawężniku było trochę więcej miejsca.

Brady podszedł do bramy świątyni i popatrzył chmurnie na okazały budynek. Wyglądało na to, że w poczerńniętym wiktoriańskim gmachu z pseudodoryckimi kolumnami i portykiem mieściła się niegdyś kaplica jednej z sekt nonkonformistycznych. Kiedy mieszkańcy Manningham zaczęli się przeprowadzać z centrum miasta na przedmieścia, pierwotna gmina wyznaniowa uległa zapewne rozproszeniu i Das kupił kościół za bezcen.

Matthew wspinał się po szerokich schodach ku portykowi, otworzył jedne z drzwi i natychmiast poczuł wszechobecną woń kadzideł.

W sieni, oświetlonej elektrycznymi imitacjami świec, leżał drogi indyjski dywan. Z mrocznych głębin gmachu dobiegały niewyraźne głosy i Matthew ruszył w stronę dźwięku, aż dotarł do dwuskrzydłowych drzwi.

Podśluchiwał pod nimi przez chwilę, gdy wtem

sposzregł z boku inne drzwi. Otworzył je i wspiał się wąskimi kamiennymi schodami na galeryjkę, skąd mógł obserwować wnątrze kościoła.

Ołtarz usunięto, a na jego miejscu ustawiono pozłacany posąg Buddy. W sali nie było ławek i wierni siedzieli po turecku na podłodze. Były to głównie kobiety w średnim wieku, w tym kilka kalek.

W pomieszczeniu, słabo oświetlonym elektrycznymi świecami, unosił się gęsty kadzidlany dym. Przed posągiem Buddy stała misa, w której płonął ogień; klęczał przed nią mężczyzna z ogoloną głową, dotykając czołem posadzki.

Brady doszedł do wniosku, że to z pewnością Das. Prezentował się imponująco.

Nosił luźną żółtą szatę, która pozostawiała odkryty nagi bark.

Po chwili wstał i odwrócił się. Miał piękną twarz i spokojne, mądre oczy. Uśmiechnął się łagodnie i rzekł melodyjnym głosem:

— A teraz, bracia i siostry, usłyszycie z mych ust mądrość, nad którą powinniście medytować do naszego następnego spotkania. *Nie wystarczy czynić dobra, należy również być dobrym.*

Mówił na pozór najzupełniej szczerze, lecz już po chwili zepsuł kompletnie efekt.

— Przy wyjściu odbędzie się jak zwykle kwesta. Bądźcie hojni dla wspólnego pożytku.

Uniósł ramiona w geście błogosławieństwa, po czym odwrócił się i zniknął za parawanem.

Wierni zaczęli wstawać, niekiedy nie bez wysiłku, a Brady odczekał na galerii, aż świątynia opustoszeje.

Zszedł na dół, a gdy znalazł się na korytarzu, natknął się na kobietę wchodzącą do niewielkiego gabinetu.

Nosiła żółtą szatę podobną do tej, którą miał na sobie Das, i trzymała w ręku dużą torbę wypchaną pieniędzmi.

— Czym mogę panu służyć? — spytała, marszcząc leciutko brwi.

Wyglądała na starą pannę i miała chudą, wysuszoną twarz czterdziestolatki, z drgającym nerwowo mięśniem na policzku.

— Chciałbym się zobaczyć z panem Dasem, jeśli to możliwe — oznajmił Brady.

— Po nabożeństwie Swami jest zawsze bardzo wyczerpany — odparła kobieta. — Zwykle nie przyjmuje pacjentów w niedzielę.

— To bardzo pilna sprawa — nalegał Matthew. Na jej twarzy w dalszym ciągu malowało się wahanie, toteż wyjął prędko dwa banknoty dziesięcioszylingowe i wrzucił je do torby. — Nabożeństwo było głęboko inspirujące.

— Prawda, że tak? — odrzekła z prostotą. — Dowiem się, czy Swami może poświęcić panu trochę czasu. Proszę chwilę poczekać.

Przymknęła drzwi, ale Brady usłyszał, jak podnosi słuchawkę telefonu. Po krótkiej ściszonej rozmowie wyszła z powrotem na korytarz.

— Swami czuje się bardzo znużony, ale może poświęcić panu pięć minut — powiedziała. — Proszę za mną.

Podążyli długim, zadaszonym korytarzem łączącym świątynię z dawną plebanią. Kiedy kobieta otworzyła drzwi na jego końcu, Brady znów poczuł przytłaczającą woń kadzideł.

Znaleźli się w sieni ozdobionej kosztownymi draperiami, a przewodniczka zastukała cicho do drzwi i weszła do pokoju.

Matthew ruszył za nią i stanął na progu z kapeluszem w ręku. Na ścianach wisały chińskie jedwabne gobeliny

z haftowanymi smokami, a podłogę pokrywał wspaniały czarny dywan.

W niszy na końcu pokoju znajdował się niewielki ołtarzyk z posążkiem Buddy, przed którym klęczał ze zwieszoną głową Das. Obok tliło się w misie kadzidło.

— Proszę zaczekać, aż Swami będzie gotów — szepnęła kobieta i wyszła, zamykając cicho drzwi.

Na środku dywanu stało piękne rzeźbione biurko ze lśniącym hebanowym blatem, a na ścianach widać było wspaniałą kolekcję chińskiej porcelany na specjalnych półkach.

Brady podszedł bliżej i przyjrzał się delikatnej porcelanowej wazie. Z tyłu rozległ się szmer.

— Widzę, że podziwia pan moje skromne zbiory — odezwał się Das. — Czyżby był pan artystą?

Matthew pokręcił głową.

— Mój fach ma niewiele wspólnego ze sztuką. Jestem z zawodu inżynierem budowlanym, ale potrafię docenić piękno każdej konstrukcji.

— Nawet most może być dziełem sztuki — stwierdził sentencjonalnie Das. — Jeśli to pana interesuje, waza, którą pan podziwiał, pochodzi z dynastii Ming i jest warta przeszło tysiąc funtów. To perła mojej kolekcji.

Pogładził ją z lubością smukłą dłonią, podszedł do biurka, usiadł przy nim i wskazał Brady'emu krzesło naprzeciwko.

— Mahroon twierdzi, że ma pan jakieś kłopoty, przyjacielu. Że potrzebuje pan oświecenia.

— Można to ująć w ten sposób — odpowiedział Matthew, po czym wyjął papierosa i zapalił go. Usiadł na krześle i upuścił kapelusz na podłogę. — Nazywam się Matthew Brady. Czy coś to panu mówi?

Po twarzy Dasa przemknął cień zdziwienia.

— A powinno?

— Tak mi się zdaje — odparł Matthew. — Tym bardziej że kilka dni temu zaoferował pan dobrą cenę za moją głowę.

Piękne, lśniące oczy Hindusa przybrały szczerze urażony wyraz.

— Przykro mi, ale nie mam niestety pojęcia, o czym pan mówi, panie Brady. Zajmujemy się tu walką z własnymi słabościami i pragniemy odkryć prawdę, której każdy musi poszukiwać na własną rękę w głębinach swojej duszy. Zabicie innej istoty ludzkiej byłoby dla nas najokropniejszym grzechem.

— Proszę zachować te brednie dla klientów z gotówką — zareplikował Matthew.

Das westchnął i nacisnął brzęczyk na biurku.

— Przykro mi, ale muszę niestety poprosić Mahroon, by wyrzuciła pana za drzwi.

— Coś mi się zdaje, że nie dba pan zbyt o tę swoją dziewicę świątynną — ciągnął Brady. — Wygląda jak prawdziwa mumia. Kim była, nim ją pan zwerbował — nauczycielką?

— Pańskie zachowanie jest doprawdy niezwykle obraźliwe, panie Brady — wycedził Das. — Obawiam się, że będę musiał coś z panem zrobić. Coś bardzo nieprzyjemnego.

Za plecami Brady'ego rozległ się szelest i na jego szyi zacisnęło się muskularne ramię, które szarpnęło mu podbródek do tyłu i zmusiło do wstania.

Napastnik trzymał go jak w imadle, tak że Matthew nie był w stanie obrócić głowy i spojrzeć na niego, a Das rozparł się w fotelu, szczerząc z zadowoleniem zęby.

— Chyba zdecydujemy się na rzekę, panie Brady. Tak, to znakomicie rozwiąże sprawę. Poślizgnie się pan i wpadnie do wody, idąc nabrzeżem, po czym uniesie

pana prąd. W istocie rzeczy będzie to działanie w interesie publicznym.

— Nie ujdzie ci to na sucho! — wychrypiał z rozpaczą Matthew.

— Ależ ujdzie, ujdzie, niech się pan nie martwi! — zaśmiał się Das. — Przykro mi, że nie mogę posłuchać, jak się pan wydostał z więzienia, ale mamy bardzo mało czasu.

Niewidzialny napastnik odrzucił kopniakiem krzesło i jął ciągnąć Brady'ego tyłem w stronę drzwi. Matthew usiłował się wyrwać, ale był bezsilny w starszliwym uścisku. W rozpaczy uniósł prawą nogę i kopnął napastnika w goleń, po czym zmiażdżył mu piętą stopę, stając na niej całym ciężarem ciała.

Mężczyzna ryknął z bólu i puścił go. Brady obrócił się prędko i ujrzał jednego z najwyższych ludzi, jakich kiedykolwiek widział. Na płaskiej, tępej twarzy błyskały wściekle małe, świńskie oczka; napastnik machnął pięścią, trafiając go w bark i odrzucając o kilka kroków.

— Wykończ go, Shaun! Wykończ! — zawołał Das, a Shaun rzucił się w stronę Brady'ego. Długie, toporne łapy z połamanymi paznokciami sięgały mu prawie do kolan. Matthew chwycił mały lakowy stolik stojący w pobliżu i cisnął go olbrzymowi pod nogi, a Shaun potknął się i runął na podłogę.

Brady nie miał żadnych złudzeń, co go czeka, jeśli Shaun zdoła wstać. Podbiegł szybko do napastnika i chciał go kopnąć w głowę, jednakże potężny Hindus wykazał się znakomitą refleksą. Chwycił stopę Amerykanina, wykręcił ją i przewrócił go na ziemię.

Turlali się po dywanie, a Matthew miotał dziko rękami i nogami, usiłując się wyswobodzić, lecz okazało się to niemożliwe. Olbrzym chwycił go dłońmi za gardło, przygniół do ziemi i zaczął dusić.

Brady'emu pociemniało w oczach, gdy nagle, szamocąc się rozpaczliwie, przypomniał sobie starą sztuczkę rodem z judo i splunął Shaunowi w twarz. Potężnie zbudowany mężczyzna odruchowo odrzucił głowę do tyłu, Matthew zaś uderzył go wyprostowanymi palcami w nagą krtani tuż nad jabłkiem Adama.

Shaun otworzył usta w bezgłośnym krzyku, opadł na podłogę i zaczął się wić z bólu, ściskając konwulsyjnie gardło.

Brady wstał, masując sobie delikatnie szyję, i zobaczył Dasa zmierzającego w stronę drzwi. Chwycił go za poję żółtej szaty, obrócił z rozmachem i pchnął z powrotem na fotel.

Hindus spojrzał nań płonąco wzrokiem.

— Nie ujdzie ci to na sucho, Brady!

Piękna twarz była wykrzywiona wściekłością. Matthew uśmiechnął się.

— Zastanawiałem się, jaki naprawdę jesteś pod tą swoją świątobliwą maską. Teraz już wiem.

— Postaram się, żebyś wrócił do więzienia, choćby miała to być ostatnia rzecz w całym moim życiu! — syknął jadowicie Das.

— Nie zrobisz tego — odparł Matthew. — Jeśli wpadnę znowu w łapy policji, zniszczę cię. Powiem, że zaaranżowałeś moją ucieczkę, a później wydałeś, bo nie mogłem zapłacić obiecanej sumy.

— Nikt ci nie uwierzy! — prychnął pogardliwie Hindus.

— Nie byłbym tego taki pewien. Prawdopodobnie twoje dossier ma z pół metra grubości. Założę się, że policja tylko czeka na twój pierwszy fałszywy krok.

— Wynos się stąd! — wrzasnął Das.

— Dopiero gdy się wszystkiego dowiem — odpowie-

dział Brady. — Kazałeś Wilmie Sutton zaaranżować mój śmiertelny wypadek, najlepiej do niedzieli. Chciałbym wiedzieć dlaczego.

— Idź do diabła! — mruknął ponuro Das.

Matthew wzruszył ramionami i wstał. Podeszedł do półek, na których stała kolekcja Hindusa, podniósł piękny alabastrowy dzban i cisnął nim w ścianę.

Dzban roztrzaskał się na drobne kawałki, a Das zerwał się z fotela, wydając przerażony okrzyk.

— Chciałem ci tylko pokazać, że mówię poważnie — stwierdził Matthew. — Mam w zanadru jeszcze lepszą sztuczkę.

Ujął wazę z dynastii Ming, uniósł ją powoli nad głowę, a Das zawołał z trwogą:

— Na litość boską, Brady, nie! Błagam!...

— Więc zacznij gadać — przynaglił Matthew. — Mam niewiele czasu.

— W zeszłym tygodniu przyjechał do mnie z Londynu pewien mężczyzna. Węgier nazwiskiem Anton Haras — rzekł śpiesznie Hindus. — Powiedział, że musisz koniecznie umrzeć i że dobrze mi zapłaci, jeśli to zaaranżuję.

— Kto go przysłał?

Das zawahał się na moment i Matthew zaczął znów unosić wazę.

— Nie, proszę! Powiem wszystko! — wybełkotał Hindus. — Mój kontakt w Londynie. Od czasu do czasu robimy razem interesy.

— Jak się nazywa?

— Soames, profesor Soames. Zajmuje się medycyną naturalną. Prowadzi klinikę na Dell Street koło Regent's Park. Nigdy go nie widziałem. To po prostu kontakt, który wykorzystuję, gdy potrzebuję pewnego szczególnego towaru.

Brady uniósł szybko wazę, a Das obszedł biurko z wyciągniętymi ramionami.

— Mówię prawdę, przysięgam!...

Matthew patrzył przez chwilę na wykrzywioną, spoczną twarz, po czym wręczył Hindusowi wazę.

— Módl się, żeby tak było — powiedział.

Das przycisnął wazę do piersi z głośnym westchnieniem ulgi, a Brady ruszył w stronę drzwi obok Shauna, który siedział na podłodze z fioletową twarzą, jęcząc cicho niczym zranione zwierzę.

Kiedy Matthew otwierał drzwi, Das odezwał się z wściekłością:

— Ktoś chce twojej śmierci, Brady. Nie wiem dlaczego; nie wiem nawet, kto to jest, ale mam nadzieję, że do padnie cię przed policją!

Matthew nie raczył odpowiedzieć. Zamknął drzwi i wrócił korytarzem do świątyni. Przed niewielkim posągami w sieni stała kobieta z głową pochyloną w kontemplacji.

Gdy podszedł bliżej, odwróciła się i uśmiechnęła.

— Czy Swami zdołał panu pomóc?

— Myślę, że tak — odpowiedział Matthew.

— My, którym objawiła się prawda, mamy mu wiele do zawdzięczenia.

— To bez wątpienia człowiek niezwykły — rzekł z namaszczeniem Brady i wyszedł.

Drzwi szcęknęły cicho w półmroku, a Matthew przystanął na chwilę na szczycie schodów. Naturalnie musiał pojechać teraz do Londynu, tylko jak się tam dostać? Wydał już połowę pięciu funtów, które ukradł z kasy w sklepie, a był pewien, że bilet kolejowy jest znacznie droższy.

Jazda autostopem mogła zakończyć się fatalnie, ale gdzieś przy głównej drodze wyjazdowej z miasta musiał się znajdować bar, w którym zatrzymywali się na posiłek kierowcy ciężarówek zdążających na południe. Gdyby

zdołał się ukryć niepostrzeżenie w jednej z nich, dotarłby do Londynu na śniadanie i nikt nie miałby o tym pojęcia.

Ulica była pusta z wyjątkiem jednego samochodu parkującego trochę dalej, z zapalonymi światłami. Kiedy Brady wyszedł przez główną bramę i podążył w przeciwną stronę wzdłuż metalowego ogrodzenia, auto ruszyło za nim.

Był to czarny mercedes, który ochlapał go wcześniej wodą. Matthew szedł równym krokiem w stronę głównej ulicy. Nagle za jego plecami rozległ się warkot motoru i mercedes wpadł pędem na chodnik z oczywistym zamiarem przygniecenia go do płotu.

Brady podskoczył, chwycił poziomą metalową listwę łączącą żelazne pręty i podkulił nogi. Coś szarpnęło go za płaszcz, po czym mercedes zjechał z powrotem na jezdnię i zatrzymał się. Po chwili zaczął zawracać, a Matthew zeskoczył na chodnik i rzucił się do ucieczki.

Z tyłu rozległ się wizg opon i plecy Brady'ego wydobył z mroku potężny snop światła, aż na ceglanej ścianie wyrósł jego gigantyczny cień. Rozejrzał się z rozpaczą i dostrzegł wąską lukę w murze po lewej stronie jezdni. Gdy do niej dobiegł, auto zatrzymało się.

Stał u wylotu wąskiego przejścia między wysokimi kamiennymi ścianami, oświetlonego w połowie staroświecką latarnią gazową przytwierdzoną do muru.

Trzasnęły zamykane drzwiczki, Brady zaś cofnął się w mrok i czekał. Nieznajomy zbliżył się i przystanął w odległości kilku kroków, a światło latarni u wylotu ścieżki zaśniło w opalizujących okularach pod filcowym kapeluszem.

Jego twarz zasłaniał postawiony kołnierz grubego, kontynentalnego płaszcza, lecz Matthew dojrzał białe

zęby błyskające w przyjaznym uśmiechu i usłyszał dziwny sepleniący głos:

— Niech pan będzie rozsądny, Brady.

— Chętnie — odparł. — Kim pan jest, do licha? Nazywa się pan Anton Haras?

Tęgi mężczyzna zaśmiał się nieprzyjemnie i uniósł prawą rękę. Brady skulił się odruchowo na widok czerwonego błysku rozświetlającego mrok. Rozległo się przytłumione kasznięcie i kula odbiła się rykoszetem od ściany.

Pewnego razu, w kawiarni w Hawanie, niedługo przed przejściem władzy przez reżim Castro, Matthew był świadkiem zamordowania człowieka siedzącego przy sąsiednim stoliku. Zabójca zastrzelił go z pistoletu „Mauzer” z pękatym tłumikiem z arsenałów SS, który wydał dokładnie taki sam dźwięk. Brady odwrócił się i uciekł, wpatrując się w latarnię w połowie ścieżki.

Z tyłu rozbrzmiewał tupot pędzących stóp, potęgowany echem odbijającym się między kamiennymi murami. Matthew znów usłyszał dziwaczne przytłumione kasznięcie i coś bzyknęło mu koło ucha.

Przyklęknął, chwycił spory kamień, wstał, cisnął nim w lampę, pograżając ścieżkę w ciemności, i popędził dalej.

Biegnąc jak szalony, dotarł do wąskiego zaułka wiodącego wzdłuż bocznej ściany teatru „Hipodrom”. Po lewej, w odległości kilku metrów, znajdowało się wejście dla aktorów, nad którym paliła się niewielka lampa.

Kiedy pędził do przodu, drzwi otworzyły się i stanęła w nich kobieta z neseserem w ręku. Wyciągnęła dłoń, by je zamknąć, lecz w tejże chwili Matthew poślizgnął się na mokrych kocich łbach i potracił wypełniony po

brzegi kubeł na śmieci, którego pokrywa spadła z brzękiem na ziemię.

Kobieta odwróciła się z niepokojem i Matthew ujrzał pobladałą, wystraszoną twarz Anne Dunning.

— Proszę się nie bać! — zawołał bez tchu.

Krzyk zamarł jej w gardle i spojrzała nań rozszerzonymi oczyma.

— Co się stało, panie Brady?! Zwolnili pana?!

Mauzer kaszlnął znowu i lampa nad drzwiami pękła z hukiem. Brady'emu mignęła postać Harasa stojącego u wylotu przejścia między murami.

Otworzył kopniakiem drzwi, wepchnął Anne Dunning do środka i pobiegł z nią korytarzem.

— Nie mam czasu tłumaczyć! — szepnął. — Jest tam

mężczyzna, który chce mnie zabić!

Gdy minęli zakręt, Haras wyłamał drzwi i rzucił się za nimi. Brady przystanął, ściskając ramię dziewczyny.

— Co jest na dole?

— Garderoby.

Wspięli się schodami po lewej i dotarli za kulisy. Haras był coraz bliżej, pędząc zadziwiająco szybko jak na mężczyznę swojej tuszy. Scenę oświetlała pojedyncza lampa, a Brady przebiegł wraz z dziewczyną na drugą stronę, gdzie panowała ciemność i nic im na razie nie groziło.

Chciał zejść schodkami na dół, lecz Anne powstrzymała go.

— Nie! Tamte drzwi są zamknięte! Tędy!

Za planszami stanowiącymi dekoracje znajdowały się inne drzwi, prawie niewidoczne. Dziewczyna otworzyła je prędko, wciągnęła go do środka i zasunęła rygiel. Stali razem w mroku, czekając na rozwój wypadków.

Haras pobiegł za kulisy i zatrzymał się. Po chwili zszedł po schodkach i próbował otworzyć drzwi, szarpiąc gwałtownie klamkę. Wreszcie wrócił na scenę.

— Wiele bym dał, żeby mieć w tej chwili pistolet — westchnął Brady.

Dziewczyna zapaliła światło. Znajdowali się w zagraczonej rekwizytorni, gdzie składowano stare kostiumy i dekoracje, nawet meble.

Podeszła do kredensu, otworzyła go i wyjęła duży rewolwer.

— Przykro mi, ale to tylko straszak. Używaliśmy go w przedstawieniu. Jest także pudełko ślepaków.

Brady otworzył bębenek i zajrzał do niego, czując przypływ nerwowego podniecenia.

— Może przynajmniej uda mi się go spłoszyć.

Anne otworzyła pudełko z nabojami, a Matthew załadował prędko broń, podszedł do drzwi i odciągnął kurek.

Dziewczyna stanęła tuż obok. Kiedy zgasił światło, poczuł w ciemności jej ciepło i zapach.

— Proszę stąd nie wychodzić — powiedział. — To moja sprawa. Nie chcę, żeby coś się pani stało.

Otworzył bezszelestnie drzwi i wyjrzał. Haras stał na środku sceny, obserwując widownię.

— Ucieczka nie ma sensu, Brady! — krzyknął. — Nie wymkniesz się!

— Haras! — zawołał cicho Matthew.

Gdy Węgier zaczął się obracać, Amerykanin uniósł rewolwer i dał ognia. Rozległ się ogłuszający huk wystrzału, a Haras zeskoczył ze zdumiewającą zwinnością ze sceny i zniknął w mroku.

Brady przykucnął i usłyszał tuż obok Anne Dunning.

— Gdzie jest wyłącznik lampy? — spytał cicho.

— Tuż za nami. Wyłączyć ją?

Skinął głową i po chwili teatr pogrążył się w mroku.

— Idę po ciebie, Haras! — zawołał Matthew.

Z ciemności odpowiedział błysk ognia. Matthew strzelił dwukrotnie i przebiegł skulony wzdłuż sceny. Haras uciekł schodami na dół i popędził korytarzem. Kiedy Brady minął zakręt, rozległo się trzaśnięcie drzwi wyjściowych.

Zaułek, pełen szumu ulewy, wydawał się spokojny, prawie sielankowy. Matthew stanął u wylotu ścieżki między murami i słuchał echa kroków biegnącego Węgra. W dali trzasnęły drzwiczki auta, a po chwili rozległ się warkot zapuszczanego motoru.

— Ta stara pukawka miała dziś swój wielki dzień! — odezwała się z tyłu Anne Dunning zdyszczym, podnieconym tonem.

Brady odwrócił się, by odpowiedzieć, gdy daleko w ciemności rozległo się groźne, niesamowite wycie, które przetoczyło się echem nad miastem.

Zadrżał, moknąc w strugach deszczu, i ogarnęło go nagłe przygnębienie. Dziewczyna spojrzała nań dziwnym wzrokiem.

— Co to takiego?

— Alarm w tutejszym więzieniu — odparł z prostotą. — To znaczy, że policja zaczęła mnie szukać.

VI

Wrócili do teatru. Anne włączyła światło, usiadła na krześle i wysłuchała opowieści Brady'ego, wsparłszy dłonią podbródek.

Wreszcie westchnęła i pokręciła z niedowierzaniem głową.

— To wszystko brzmi jak jakiś koszmary sen, z jednym wyjątkiem.

— Ma pani na myśli Harasa? — zapytał Matthew.

Skinęła poważnie głową.

— Tak, dzięki niemu jest to takie przerażająco rzeczywiste. I co pan teraz zamierza?

— Muszę się dostać do Londynu. Nie mam wyboru. Ten cały profesor Soames to mój jedyny trop.

— Czy teraz, gdy już wiedzą, że pan uciekł, nie będzie to bardzo trudne?

Matthew kiwnął ponuro głową.

— Niestety. Miałem nadzieję, że zauważą moją nieobecność dopiero przy śniadaniu, ale się przeliczyłem. Myślałem, że dotrę bezpiecznie do Londynu i zacznę działać, podczas gdy policja wciąż będzie mnie szukać w Manningham.

— Cóż, teraz rzecz w tym, jak się dostać do Londynu.
— Pytanie za sto punktów.
Anne zamyśliła się głęboko.
— Wie pan, że mój ojciec siedział podczas wojny w obozie jenieckim w Niemczech? — spytała po chwili.
Matthew skinął głową.
— Owszem, wspominał o tym.
— Uciekał trzy razy — powiedziała. — W końcu przedostał się przez Niemcy i Francję, przekroczył Pireneje i dotarł do Hiszpanii. Twierdził, że najważniejsze to unikać szos i zmierzać do celu najkrótszą drogą.
— To dobra strategia, tyle że dość trudna w realizacji — stwierdził Brady. — Jest nocny ekspres do Londynu, ale moje szanse na dostanie się do środka są w tej chwili prawie żadne.
— Sama jadę dziś w nocy tym pociągiem — rzekła Anne. — Mam miejsce w wagonie sypialnym. Reszta zespołu wyjechała rano, ale ja chciałam się spotkać z przyjaciółmi. Mieszkają jakieś dwadzieścia kilometrów pod miastem. Spędziłam u nich cały dzień.
— Więc musical zrobił klapę?
— Tak, i to zupełną. — Nagle zmarszczyła brwi. — Zaraz, zaraz! Coś mi przyszło do głowy. Przecież wykupiłam cały przedział. Nie znoszę podróżować z obcymi, więc postanowiłam jechać pierwszą klasą. Gdybym zdołała wprowadzić pana do pociągu, dotarłby pan wygodnie do Londynu w moim towarzystwie.
— To niemożliwe — odparł. — Dworzec będzie się roił od policjantów. Na pewno obserwują pociągi. Nigdy nie przedostanę się na peron.
— Mój ojciec wyszedł raz z oflagu główną bramą. Zachowywał się tak pewnie, że nikt go nawet nie zaczepił.
Matthew zmarszczył brwi.

— Nie rozumiem.
— Nosił niemiecki mundur.
— Ale co to ma wspólnego ze mną?
— Przecież to takie proste! Czy ktoś mógłby podejrzewać bagażowego, który wnosi do pociągu walizki kobiety? Wejdzie pan do przedziału i zostanie. To wszystko.

— Najpierw musiałbym mieć mundur.
Roześmiała się wesoło i wstała.
— Zapomina pan, że jesteśmy w teatrze.
Poszedł z nią za kulisy, a ona otworzyła drzwi do rekwizytorni, zapaliła światło i zaczęła grzebać w wielkim wiklinowym koszu.

Po chwili odwróciła się tryumfalnie i rzuciła mu czapkę z szerokim otokiem.

— To na początek!

Na białej metalowej odznace znajdował się napis „British Railways”. Brady przymierzył czapkę i przejrzał się w lustrze. Była o kilka numerów za duża, co miało swoje zalety. Anne podeszła i stanęła za nim z przewieszonym przez ramię grubym granatowym mundurem z lśniącymi, urzędowymi guzikami.

— No i kłopot z głowy! — rzekła z wesołą, ożywioną twarzą. Przez moment wyglądała jak dziecko, które poznało nową, ekscytującą zabawę.

Matthew odwrócił się z poważną miną.

— Nie, to wykluczone — powiedział. — Nie mam prawa pani w to wplątywać. Ludziom, którzy pomagają zbiegom, grożą bardzo wysokie kary. Niech pani jedzie tym pociągiem, a ja znajdę inny sposób na dotarcie do Londynu.

— I tak jestem już wplątana: nie ma na to rady — odparła z mocą. — Mój ojciec miał o panu bardzo

wysokie mniemanie. Kiedy odwiedziłam pana w więzieniu, zrozumiałam przyczynę, bo spod gniewu, goryczy i frustracji przeziierał jednak prawdziwy Matthew Brady.

— Ale może panią spotkać coś złego — zaprotestował.

— Postawmy sprawę tak: pomogę panu, czy pan tego chce, czy nie — odpowiedziała cierpliwie.

Spojrzał na nią z pewnym podziwem i potrząsnął głową.

— Jest pani bardziej podobna do ojca, niż myślałem.

Uśmiechnęła się wiedząc, że zwyciężyła.

— Chodźmy stąd. Mieszkam tuż za rogiem. Przeczekamy u mnie do odejścia pociągu.

— A co z pani gospodynią?

— Nie ma problemu. Nocuje u siostry. Kazała mi zostawić klucz pod słomianką.

Zawinęła mundur w papier pakowy, po czym opuścili teatr, zamykając drzwi dla aktorów. Ruszyli zaułkiem w strugach wciąż padającego deszczu i skręcili śmiało w główną ulicę.

Anne ujęła Brady'ego za ramię. Szli niespiesznie chodnikiem wzdłuż oświetlonych witryn, a gdy zza rogu wyjechał samochód policyjny, wpadając w lekki poślizg na mokrej jezdni, skręcili w jedną z przecznic.

Auto pognało w mrok, z wyjąca syreną.

— Dziś w nocy przewrócą miasto do góry nogami — zauważył cierpko Matthew.

— Zanim zaczną, będziemy już daleko stąd — odpowiedziała spokojnie.

Wzdłuż ulicy stał rząd starych wiktoriańskich willi z piaskowca z niewielkimi ogródkami od frontu. Dziewczyna otworzyła bramę jednej z nich, a Matthew ruszył za nią ścieżką, kręcąc głową ze zdumienia. Anne miała

w sobie coś nieuchwytnego, czego nie potrafił zdefiniować, co czyniło ją inną od wszystkich znanych mu kobiet. Wydawało się, że nic nie jest w stanie wyprowadzić jej z równowagi.

Otworzyła drzwi frontowe i przeszła przez hall do wygodnego, przestronnego salonu. Włączyła duży grzejnik elektryczny i odwróciła się z uśmiechem.

— Najpierw się spakuję, a później zaparzę kawę. Proszę się nie krępować i zapalić. Wygląda pan, jakby mógł przespać co najmniej dobę.

Gdy wyszła, Matthew zapalił papierosa, usiadł naprzeciwko grzejnika i usiłował się odprężyć. Okazało się to zupełnie niemożliwe. Deszcz bębnił uporczywie w szyby, jakby chciał je za wszelką cenę rozbić, a Matthew poczuł raptem nerwowe ściskanie w żołądku. Znajdował się chwilowo w bezpiecznym, ciepłym mieszkaniu, lecz natychmiast po wyjściu na ulicę zmieni się w tropione zwierzę, które każdy ma prawo bezkarnie zabić.

Zadygotał lekko, zaniepokojony. Wstał i zauważył staroświeckie pianino na końcu pokoju. Uniósł klapę i zagrał kilka taktów. Klawisze pożółkły ze starości, ale instrument był nastrojony, toteż usiadł i zagrał stary utwór Rodgersa i Harta. Nostalgiczny i zadumany, niczym wspomnienie dawno minionego lata.

Zmienił bez trudu melodię, skupiając się na grze, aż opuścił go lęk, a po chwili uniósł wzrok i spostrzegł stojącą z boku Anne Dunning.

— Bardzo dobrze pan gra, panie Brady.

— To jeden z moich nielicznych talentów. — Uśmiechnął się. — A poza tym mam na imię Matt.

Odwzajemniła uśmiech, marszcząc lekko kąciaki oczu.

— Zaparzę teraz trochę kawy... Matt. W tym czasie

możesz się przebrać w mundur. Położyłam go na łóżku. Pierwszy pokój po prawej na szczycie schodów.

Sypialnia była równie staroświecka jak reszta domu, z wielkim mosiężnym łóżem i masywnymi wiktoriańskimi meblami. Koło drzwi stały na podłodze dwie walizki, a trzecia, otwarta i pusta, leżała na łóżku obok munduru. Anne najwyraźniej przepakowała swoje rzeczy, by zrobić miejsce na garnitur i płaszcz Brady'ego.

Przebrał się szybko i przyjrzał się sobie krytycznie w lustrze na drzwiach szafy. Spoglądał nań ktoś obcy. Mundur okazał się trochę za mały i pił pod pachami, ale czapka z daszkiem opadała głęboko na oczy i zmieniała go nie do poznania. Złożył starannie garnitur i płaszcz, schował do pustej walizki i zniósł ją na dół wraz z dwiema pozostałymi.

Anne była ciągle w kuchni, a Matthew podszedł do drzwi i oparł się o framugę. Po chwili dziewczyna odwróciła się, by po coś sięgnąć, i spostrzegła go. Zachnęła się mimo woli, zrobiła krok do tyłu, po czym wybuchnęła śmiechem.

— Ależ to cudowne, Matt! Nigdy bym cię nie poznała! Zsunął czapkę na tył głowy i uśmiechnął się.

— Cóż, bardzo mnie to cieszy. Kiedy ruszamy?

Zaniosła tacę do salonu, a Matthew podążył za nią.

— Pociąg odchodzi tuż po dwunastej, ale podstawiają go godzinę wcześniej. Myślę, że najlepiej będzie wsiąść około północy.

Skinął głową na znak zgody, przyjmując z jej rąk filiżankę kawy.

— To rozsądne. Ile nam zajmie dojście do dworca?

Wzruszyła ramionami.

— Około dziesięciu minut, może trochę dłużej, jeśli

będziemy szli bocznymi ulicami. Wyjdziemy na plac koło hotelu; stacja jest po przeciwnej stronie.

— Bardzo dobry plan — powiedział. — Jeśli ktoś zobaczy nas na placu, pomyśli, że taszcę z hotelu twoje bagaże.

Skinęła głową.

— O to właśnie chodzi.

Wypili po jeszcze jednej filiżance kawy i Anne odniosła tacę do kuchni. Brady zapalił kolejnego papierosa i usiadł wygodnie w fotelu, próbując się odprężyć.

Po dziesięciu minutach Anne wróciła w płaszczu przeciwdeszczowym i ciemnym berecie. Matthew wstał i uśmiechnął się.

— Gotowa?

Skinęła potakująco głową.

— Jak się czujesz?

— Ledwo się trzymam na nogach, ale dam radę — odpowiedział.

Wyszli tylnymi drzwiami na małe, ciemne podwórko i ruszyli wąskim zaułkiem. Ulewa osłabła nieco, Anne zaś skręciła w następną przecznicę, jakby znała doskonale drogę.

Nie spotkali nikogo i po jakimś kwadransie dotarli do uliczki wiodącej do głównego placu miasta.

Matthew uginał się pod ciężarem trzech walizek. Przystanął koło narożnika hotelu, by trochę odpocząć, po czym ruszył za Anne przez wybrukowany plac.

Szła spokojnym, nieśpiesznym krokiem, po królewsku pewna siebie. Przed główną bramą dworca parkowały trzy wozy policyjne. Zerknęła na nie, wspięła się po schodach i bez wahania przekroczyła próg.

Wnętrze gmachu, ze sklepikami zamkniętymi na noc, sprawiało ponure, odstręczające wrażenie, lecz

restauracja była wciąż otwarta, a w wielkiej hali z łukowatym sklepieniem czekało jeszcze zdumiewająco wielu podróżnych.

Koło wyjścia na peron stało dwóch umundurowanych policjantów, przypatrujących się bacznie każdemu przechodzącemu. Anne wyjęła bilet. Konduktor oglądał go przez ułamek sekundy, po czym przepuścił ją i Brady'ego, uginającego się pod ciężarem walizek.

Pociąg stał już na peronie, a między kołami lokomotywy snuły się obłoczki pary. Wagony sypialne znajdowały się na końcu. Matthew miał lepkie, spocone ręce i zaschło mu kompletnie w gardle.

Młody policjant stojący przy wejściu do wagonu był wyraźnie zmęczony. Kiedy Anne przechodziła obok niego, ziewnął, zasłaniając dłonią usta.

Wręczyła bilet konduktorowi, który czekał w swojej klitce. Zerknął prędko na listę pasażerów.

— Pierwszy przedział w następnym wagonie, panno Dunning. Numer dwanaście. Czy życzy sobie pani rano herbatę?

Pokręciła przecząco głową.

— Zjem śniadanie później, na mieście.

Zwrócił jej z uśmiechem bilet.

— Przyjeżdżamy na King's Cross o siódmej, ale pasażerowie mogą pozostać w pociągu do ósmej.

W drzwiach pojawił się następny pasażer; Anne ruszyła korytarzem, a Matthew podążył za nią. Przeszli do następnego wagonu, cichego i pustego. Dziewczyna otworzyła szybko drzwi przedziału i weszła do środka.

Brady postawił walizki na podłodze, zdjął czapkę i oparł się plecami o drzwi. Czoło pokrywał mu kropisty pot.

— Nie chciałbym przejść przez to jeszcze raz — weschnął cicho.

W oczach Anne lśniło podniecenie. Zarzuciła mu ramiona na szyję i ucałowała go.

— Wiedziałam, że się uda!

Tulił ją przez chwilę, czując ciepło jej młodego, smukłego ciała, aż wreszcie wyswobodziła się delikatnie z jego objęć.

— Teraz powinniśmy się naradzić — rzekła beztrąsko i zdjęła płaszcz przeciwdeszczowy.

Przedział był wąski i ciasny, z pojedynczym postaniem pod ścianą i umywalką w rogu koło okna. Brady usiadł na skraju łóżka i zapalił papierosa.

— Co mam zrobić, jak ktoś zapuka do drzwi?

Anne rozejrzała się po przedziale i uśmiechnęła się.

— Chyba będziesz musiał wejść pod łóżko. Nie ma wielkiego wyboru.

— Powiedzmy, że dojedziemy na King's Cross. I co dalej?

Wzruszyła ramionami.

— Wydostaniemy się z dworca i pójdziemy prosto do metra. Mam mieszkanie w dzielnicy Kensington. Można tam dojechać w dwadzieścia minut. Tak naprawdę mieszkam z koleżanką z teatru, ale występuje w tym tygodniu w Glasgow.

— A co z mundurem?

— To proste — odpowiedziała. — Wyjdę z wagonu, niosąc na ramieniu twój płaszcz przykryty moim. Włóżysz go w metrze. Rano o tej porze jest tam taki tłok, że mógłbyś stanąć na głowie i nikt by tego nie zauważył.

Matthew uśmiechnął się.

— Masz prawdziwy talent do przebierania się.

— Cóż, jestem przecież aktorką.

Z tymi słowy rozpięła zamek błyskawiczny i ściągnęła sukienkę przez głowę. Stała w samej koszuli, nie okazując ani śladu skrępowania, a następnie otworzyła jedną z walizek. Wyjęła czerwony jedwabny szlafrok i włożyła go.

Zawiązała pasek w talii i odezwała się z uśmiechem:

— Dziś w nocy śpię w szlafroku.

Brady kiwnął głową i poczuł nagle, że powieki ciążyą mu jak ołów, głowa zaś opada na piersi. Odetchnął głęboko i usiłował usiąść prosto, a Anne uklękła i rozwiązała mu sznurowadła.

— Musisz się koniecznie przespać — stwierdziła.

Rozpiął kołnierzyk i zdjął marynarkę. Ściągnęła mu buty i zmusiła do położenia się na łóżku.

— A ty? — zaprotestował,

— Zmieścimy się oboje — odpowiedziała, położyła się obok i nakryła kocem siebie i Brady'ego.

Matthew nie miał sił się sprzeciwić. Odwrócił się, popatrzył na jej ciemnowłosą głowę leżącą tuż obok na poduszce i uśmiechnął się.

— Dziwna z ciebie dziewczyna — rzekł cicho.

Odwzajemniła uśmiech, a on miał wrażenie, że z jej ciemnych oczu bije łagodna jasność. Jeszcze nigdy nie uśmiechała się do niego w taki sposób żadna kobieta: poczuł, że tonie w jej promiennym spojrzeniu.

Pochylił się, pocałował ją leciutko w rozchylone wargi, a ona wtuliła twarz w jego ramię i po chwili zasnęła.

Usłyszał pukanie do drzwi, które wyrwało go z głębokiego snu bez marzeń. Anne siedziała na łóżku i wciągała

sukienkę przez głowę; odwróciła się prędko i pokręciła uspokajająco głową.

— To tylko konduktor budzący pasażerów — szepnęła.

— Jesteśmy na miejscu? — zdziwił się.

Kiwnęła głową, opuściła nogi na ziemię i włożyła pantofelki. Matthew był całkowicie wypoczęty i rozluźniony, ale poczuł nagle ssanie w żołądku i z konsternacją zdał sobie sprawę, że nie miał nic w ustach od ucieczki z więzienia.

Ubrali się szybko. Gdy byli gotowi, Anne otworzyła drzwi i wyjrzała ostrożnie na korytarz. Odwróciła się, skinęła głową, a Brady wziął walizki i podążył za nią.

Kiedy szli korytarzem, z przedziału obok wyszedł mężczyzna z niewielkim neseserem podróжным. Matthew przepuścił go, po czym ruszył tuż za nim.

Przy barierce nie było policjantów w mundurach, ale Brady zauważył dwu barczystych mężczyzn w płaszczach od deszczu i kapeluszach; opierali się o ścianę koło kiosku z gazetami, przyglądając się bacznie twarzom pasażerów opuszczających peron.

Kilka metrów przed Bradym jechał niewielki elektryczny wózek bagażowy wyładowany workami listów. Gdy zbliżył się do barierki, otwarto bramkę dla pojazdów. Matthew nie wahał się ani chwili. Poszedł za wózkiem, skinął głową konduktorowi i ruszył przez salę dworcową do zejścia do metra.

Staął na schodach ruchomych i zdał sobie nagle sprawę z bliskości Anne. Na dole postawił walizki na posadzce, a dziewczyna podała mu trenecz.

— Kupię bilety — rzekła i poszła do automatów.

W hali panował tłok. Matthew włożył szybko płaszcz i zawiązał pasek. Później zdjął niedbale czapkę i wyciągnął z kieszeni kaptur przeciwdeszczowy.

Rozwinął go i włożył, a tymczasem Anne wróciła z biletami.

— Idziemy? — spytała.

Zmiał czapkę bagażowego i wcisnął ją do kieszeni.

— Idziemy — odpowiedział, podniósł walizki i ruszył za nią ku barierce.

VII

Anne mieszkała na drugim piętrze starej kamienicy przy cichym placu w pobliżu Kensington Gardens. Kiedy otworzyła drzwi, zasłony były zaciągnięte i w pokoju panował półmrok.

Rozsunęła je i uchyliła okno.

— Trzeba przewietrzyć — powiedziała. — Od trzech, czterech tygodni nikt tu nie mieszkał.

Matthew postawił walizki na podłodze i zamknął drzwi.

— Ładne mieszkanie — rzekł, zdejmując trencz.

— Jesteś głodny? — spytała.

— Możesz wierzyć albo nie, ale ostatni posiłek spożywałem jeszcze na koszt Jej Królewskiej Mości.

Popatrzyła nań ze zdumieniem.

— Musisz się skrecać z głodu! Dlaczego nic nie wspomniałeś w moim mieszkaniu w Mannigham?!

— Mieliśmy wtedy poważniejsze zmartwienia — odparł, wzruszając ramionami.

Uśmiechnęła się lekko.

— Cóż, niniejsza o to. Tuż za rogiem jest mały sklepik spożywczy. Pobiegnę tam i coś kupię. Rozgość się. Niedługo wrócę.

Wyszła, a Matthew obejrzał mieszkanie. Było niewielkie i składało się z dużego salonu, kuchni, sypialni z dwoma łózkami oraz łazienki. Odkręcił obydwie kurki i zaczął się rozbierać.

Nurzał się wśród kłębow pary w gorącej wodzie, gdy drzwi uchyliły się odrobinę i w szparze pojawiła się ręka, która postawiła niewielką paczuszkę na jednej ze szklanych półek.

— Śniadanie za kwadrans! — zawołała Anne i zamknęła drzwi.

Pacuszka zawierała tanią maszynkę do golenia, żyletki i tubkę kremu. Matthew uśmiechnął się i namydlił prędko twarz. Kiedy wyszedł po dziesięciu minutach z łazienki, w tweedowym garniturze, ogolony i uczesany, po raz pierwszy od kilku miesięcy poczuł się jak cywilizowany człowiek.

W wykuszu stał stół nakryty na dwie osoby, a koło cukiernicy leżała gazeta. Usiadł i wziął ją z ciekawością do ręki.

Na pierwszej stronie, w prawym dolnym rogu, znajdowało się jego zdjęcie. Administracja więzienia odmówiła informacji o tym, w jaki sposób zdołał uciec. Artykuł zawierał krótki opis rozprawy i ostrzeżenie, że Matthew jest niebezpieczny; obok zamieszczono wywiad z szefem policji w Manningham, który był pewien, że zbieg jest ciągle w mieście, i zapowiadał rychłe aresztowanie.

Fotografia pochodziła z akt więziennych; Brady patrzył na nią krytycznie, zastanawiając się, czy może istnieć jakiś związek między nim a tym wychudzonym obcym mężczyzną.

— Nie jesteś zbyt podobny do siebie — zauważyła Anne, stanąwszy tuż za nim.

— Tym lepiej — odparł. — Nie będę szukać mnie wiecznie w Manningham.

Postawiła przed nim jejecznicę na szynce i talerz ze stosem kromek chleba.

— Nie mam niestety szczególnych zdolności kulinarnych — rzekła, siadając naprzeciwko niego. — Musisz dzisiaj zapomnieć o przysmakach z różnych stron świata i zadowolić się moimi skromnymi potrawami.

— Nie zamierzam się skarżyć. Ostatni raz byłem taki głodny jeszcze jako chłopiec, gdy wracałem rankiem z połowów w zatoce.

— Gdzie to było?

— Koło Cape Cod. Mój ojciec miał farmę tuż nad oceanem.

— Zawsze chciałam odwiedzić Nową Anglię.

— Kto nie widział naszej jesieni, ten nie wie, co to życie. — Westchnął. — Jest najpiękniejsza na świecie.

Zapalili papierosy. Matthew spoglądał przez okno na drzewa rosnące na placu; patrzył przez mżawkę na opadające liście niesione lekkimi podmuchami wiatru, myśląc o rodzinnych stronach.

— Chciałbyś kiedyś wrócić? — zapytała cicho Anne.

Skinął głową.

— To śmieszne, ale po zakończeniu budowy w Kuwejcie zamierzałem pojechać do Stanów. Dostałem list od szwagra. Jest architektem, współwłaścicielem dużej firmy w Bostonie. Zaproponował mi pracę.

— Może jeszcze tam pojedziesz, jak wszystko się wyjaśni.

Popatrzył na nią z uśmiechem.

— Cóż, niewykluczone, ale na razie mam inne sprawy na głowie. Lepiej już pójdę.

— Nie wygłupiaj się. — Położyła mu dłoń na

ramieniu, powstrzymując go od wstania. — Nie możesz chodzić pieszo po Londynie i liczyć na to, że ujdzie ci to na sucho. Prędzej czy później natkniesz się na jakiegoś młodego policjanta, który marzy tylko o awansie. I co w ten sposób zwojujesz?

— Dobrze, więc co mam robić? — spytał niecierpliwie.

— Wynajmę samochód na jeden dzień. Nie wypadnie to drogo, a wypożyczalnia jest na sąsiedniej ulicy. Jazda autem po Londynie będzie znacznie bezpieczniejsza.

Ujął jej dłoń.

— Zastanawiam się, co bym bez ciebie począł.

Zarumieniła się i wstała, uśmiechając się lekko.

— Pochlebstwami nic nie wskórasz. Jeśli chcesz zarozić na utrzymanie, możesz sprzątnąć ze stołu i po zmywać, gdy będę brała samochód.

Zamknęła za sobą drzwi, a Matthew dopalił papierosa, myśląc o niej. Stał przy oknie i patrzył, jak zbiega po schodach na ulicę, i nagle poczuł ściskanie w żołądku, bo zdał sobie sprawę, że zaczęło mu na niej zależeć.

Wróciła, ledwo sprzątnął ze stołu i pozmywał.

— Szybko się uwinęłaś — powiedział.

Uśmiechnęła się.

— O, dobrze mnie tam znają. Odkąd się tu prze prowadziłam, wynajmowałam auto kilkanaście razy. Nawiasem mówiąc, wiem już, gdzie leży Dell Street. To koło Regent's Park. Jeśli nie utkniemy w korku, powin niśmy tam dotrzeć w jakieś dwadzieścia minut.

Matthew zmarszczył czoło i chwycił ją mocno za ramiona.

— Nie ma potrzeby, żebyś ze mną jechała. Sam jeszcze nie wiem, w co się pakuję.

— Wypożyczyłam samochód na swoje nazwisko, a według umowy wolno go prowadzić tylko mnie —

odparta spokojnie. — I tak siedzę już w tej sprawie po uszy, Matt. Nic na to nie poradzisz.

— W porządku, Anne — westchnął. — Wygrałaś. Wobec tego ruszajmy.

Auto okazało się niewielkim morrisem, idealnym do poruszania się po zatłoczonych ulicach Londynu. Anne prowadziła po mistrzowsku. Włączyła się w strumień pojazdów na Bayswater Road, skręciła w Marylebone Road i pojechała w stronę Regent's Park.

Bez większego trudu odnaleźli Dell Street, cichą uliczkę koło parku, przy której stały okazałe wiktoriańskie kamienice z ogrodami.

Klinika profesora Soamesa prezentowała się imponująco, a niskie przybudówki na tyłach wyglądały na nowe.

Szeroka dwuskrzydłowa brama stała otworem, lecz Anne przejechała obok i zaparkowała auto w małej ślepej uliczce kilkanaście metrów dalej.

Brady spojrział przez tylną szybę na szyld wiszący na murze koło bramy. Głosił on złotymi zgłoskami: KLINIKA MEDYCYNY NATURALNEJ DEEPDENE, a pod spodem: PROFESOR H. SOAMES.

— No, no, nieźle — zauważył Matthew.

Anne skinęła głową i zgasila silnik.

— I co dalej? Wzruszył ramionami.

— Po prostu wejdę do środka i spróbuję się z nim zobaczyć. Będę udawać pacjenta. To jedyny sposób.

— A potem?

Uśmiechnął się.

— Spróbuję przemówić mu do rozumu. Skoro prowadzi taką klinikę, na pewno nie zależy mu na skandalu.

Pokręciła zdecydowanie głową.

— Nie, to zły plan. Może w ogóle go dziś nie ma?
A jak wyjechał z Londynu?

— Co w takim razie proponujesz?

Wzruszyła ramionami.

— To oczywiste. Wejdę pierwsza i poproszę, żeby Soames mnie przyjął. Jeśli jest w klinice, wtedy wszystko w porządku. Jeżeli go nie ma, wrócimy później.

Matthew otworzył usta, by zaprotestować, lecz zastąpiła je delikatnie dłonią.

— Im mniej ludzi cię widzi, tym lepiej.

Wysiadła z wozu i zamknęła drzwiczki. Zrobiła krok do przodu, lecz nagle zatrzymała się i wyjęła z torebki kluczyki.

— Lepiej weź je na wypadek, gdybyśmy musieli szybko się stąd wynieść — powiedziała.

Kiedy odeszła, Matthew zapalił papierosa, usiadł wygodnie i czekał. Miała oczywiście rację. Nie było sensu wchodzić na oślep do środka i narażać się na to, że ktoś go rozpozna. Niczemu to nie służyło. Samo umówienie się z Soamesem z pewnością nie grozi Anne żadnym niebezpieczeństwem. Przynajmniej dowiedzą się, czy profesor jest w klinice.

W schowku na desce rozdzielczej leżała stara gazeta i Matthew zaczął studiować ją strona po stronie dla zabicia czasu.

Po godzinie niepokój stał się nieznośny. Zapalił następnego papierosa i spojrzął przez tylną szybę na bramę. Anne wciąż nie było. Zaklął, odwrócił się i popatrzył na zegarek koło kierownicy.

Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej był pewien, że Anne coś się stało. Postanowił odczekać jeszcze dwadzieścia minut; wreszcie wysiadł z samochodu, zamknął drzwiczki i schował kluczyki do kieszeni.

Uliczka była cicha i pusta. Zbliżył się do bramy i wszedł na teren posiadłości. W dalszym ciągu siąpiła lekka mżawka. Ruszył szerokim żwirowanym podjazdem i wspiął się po schodach do drzwi frontowych.

Pchnął je lekko i otworzył, po czym znalazł się w gustownie urządzonej hallu. Na dywanie w rogu stało niskie, nowoczesne biurko, przy którym siedziała młoda kobieta zajęta porządkowaniem fiszek w segregatorze.

Była niezwykle przystojna, z jasnorudymi włosami sięgającymi ramion, i nosiła biały fartuch szpitalny, który rozchyłał się pod szyją, tak że widać było obfity biust.

Uniosła oczy i uśmiechnęła się z zawodową uprzejmością.

— Czym mogę panu służyć?

— Czy mógłbym się zobaczyć z profesorem Soamesem? — spytał Matthew.

— Przykro mi, ale pan profesor przyjmuje wyłącznie osoby zapisane.

— Rozumiem, ale polecił mi go jeden z moich przyjaciół. Kilka lat temu uległem wypadkowi i od tego czasu cierpię na ostre bóle krzyża.

— Niestety, pan profesor ma dziś komplet pacjentów, ale wśród personelu kliniki jest kilku innych równie znakomitych specjalistów w dziedzinie medycyny naturalnej — stwierdziła rejestratorka.

— Muszę się zobaczyć właśnie z nim — nalegał Matthew. — Jest jedyną osobą, która może mi pomóc. Przekonał mnie o tym mój przyjaciel.

Dziewczyna westchnęła i zanotowała coś na bloku.

— Gdyby zechciał pan podać swoje nazwisko, zoba-
czyłabym, co się da zrobić.

— Harlow — powiedział Brady. — George Harlow.

Zapisała to, po czym przekręciła się na obrotowym fotelu, rozprostowała smukłe, długie nogi w jedwabnych pończochach i wstała z płynną gracją.

— Proszę łaskawie usiąść, panie Harlow. To nie potrwa długo.

Przeszła przez hall, kręcąc wdzięcznie biodrami, i otworzyła drzwi. Kiedy wyszła, Brady uśmiechnął się i usiadł koło biurka. Jeśli tak wyglądał cały personel kliniki, musiała to być bardzo ciekawa instytucja.

Koło segregatora z fiskkami leżała otwarta księga przyjęć. Obrócił ją prędko ku sobie i przejrzał wpisy na ostatniej stronie. Nie znalazłszy nazwiska Anne, zmarszczył brwi i położył księgę w poprzedniej pozycji.

— Czy zechciałby pan pójść za mną, panie Harlow? Pan profesor znajdzie jednak dla pana chwilę czasu.

Dziewczyna zbliżyła się bezszelestnie, bo jej kroki zagłuszył gruby dywan. Nie pokazała po sobie, że widziała, jak Matthew zagląda do księgi przyjęć, choć nie mogła tego nie zauważyć.

— To bardzo miło z pani strony, że zadała pani sobie tyle trudu — odpowiedział z uśmiechem.

Zaprowadziła go wąskim korytarzem do przybudówki na tyłach i otworzyła drzwi. Brady wszedł do środka i znalazł się w małej, wygodnie umeblowanej szatni.

— Za chwilę ktoś do pana przyjdzie, panie Harlow. Czy zechciałby się pan rozebrać? Szlafrok wisi za drzwiami.

— Rozebrać?! — zdziwił się. — Czy to naprawdę konieczne?

— Profesor Soames wymaga, aby przed badaniem pacjenci całkowicie się odprężyli — wyjaśniła dziewczyna. — Spędzi pan trochę czasu w saunie i prze-

dzie masaż relaksujący. Potem przyjmie pana profesor.

Wyszła, zamykając za sobą drzwi, a Matthew wzruszył ramionami i zdjął płaszcz. Skoro to jedyny sposób, by zobaczyć się Soamesem, nie miał wyboru. Owinął się ręcznikiem w biodrach, włożył szlafrok i czekał. Po kilku minutach do szatni weszła inna młoda kobieta w białym pielęgniarskim fartuchu ściągniętym mocno paskiem.

O ile to możliwe, była jeszcze atrakcyjniejsza od rejestratorki. Wilgotny fartuch przylegał jej do ciała, tak że widać było wyraźnie zarysy piersi i pośladków.

Odgarnęła z czoła kosmyk ciemnych włosów i uśmiechnęła się promiennie.

— Proszę za mną, panie Harlow.

Matthew kroczył za nią korytarzem, zastanawiając się, jak bardzo zrelaksowani mają być pacjenci profesora. Dziewczyna otworzyła drzwi wahadłowe i wprowadziła go do długiej łaźni wyłożonej białą glazurą.

Minął ich krępy, otyły mężczyzna z ręcznikiem na biodrach, idący obok innej przystojnej młodej kobiety. Po obu stronach łaźni znajdowały się rzędy kabin z plastikowymi zasłonami.

W sali, wypełnionej kłębami pary, panowała melancholijna cisza. Naraz z pobliskiej kabiny dobiegł kobiecy śmiech. Matthew obrócił prędko głowę i zauważył, że jednej z zasłon nie dociągnięto do końca.

Na kozetce leżał na brzuchu gruby, podstarzały jegomość, którego masowała młoda kobieta. Nie miała na sobie białego fartucha. Nie miała na sobie nic. Była naga.

Charakter metod leczniczych profesora Soamesa

zaczynał się powoli wyjaśniać. Nietrudno było się domyślić, co go łączy z człowiekiem pokroju Dasa.

Pielęgniarka przeszła przez kolejne wahadłowe drzwi i ruszyli pustym białym korytarzem o szpitalnym wyglądzie. Na końcu znajdowały się drzwi z tabliczką: GABINET MASAŻU; dziewczyna otworzyła je i Matthew wszedł za nią do środka.

Gabinet masażu był również wyłożony białymi kafelkami i pełen pary. W rogu znajdowała się kabina z prysznicem, a pośrodku duża wyściełana kozetka.

Stał koło niej potężnie zbudowany mężczyzna ubrany tylko w szorty kąpielowe. Miał wielkie węzłaste muskuły, szeroką twarz, twarde, chłodne oczy i włosy ostrzyżone na jeża.

— To pan Harlow, Karl — rzekła dziewczyna. — Czy mógłbyś go przygotować? Pan profesor przyjdzie za dziesięć minut.

Karl mówił poprawną angielszczyzną, choć z wyraźnym niemieckim akcentem.

— Czy zechciałby pan łaskawie zdjąć szlafrok? — spytał grzecznie.

Matthew spełnił polecenie, a Niemiec zaprowadził go do kabiny i wepchnął do środka. Zamknął ciężkie szklane drzwi i na Brady'ego trysnęło kilkadziesiąt ostrych igiełek wody.

Była lodowato zimna, a strumienie sprawiały ból. Matthew wytrzymał dwie lub trzy minuty, po czym próbował otworzyć drzwi.

Były zamknięte. Zaczął bić pięściami w szybę, a Karl zmarszczył ze zdziwieniem brwi, wskazał zegarek i potrząsnął głową. Po chwili przekręcił zawór i strumienie przybrały na sile. Brady skulił się na podłodze kabiny, usiłując złapać oddech i walcząc z potwornym bólem.

Kiedy drzwi się otworzyły, wypadł bezwładnie pod nogi Niemca, który uniósł go, uśmiechając się zepsutymi zębami.

— Jak się pan czuje, panie Harlow?

— Jestem bardziej martwy niż żywy — wystękał Matthew. — Czy miało to służyć mojemu zdrowiu?

Niemiec znów się uśmiechnął.

— Bynajmniej, panie Brady. Miało to pana zmiękczyć.

Matthew nawet nie zauważył samego ciosu; poczuł po prostu ból eksplodujący w splocie słonecznym — białe kafelki zawirowały mu przed oczami i runął na podłogę.

Nie stracił przytomności, bo słyszał w oddali głosy, a tymczasem ból osiągnął apogeum, po czym cofnął się niczym morze podczas odpływu. Czerń ustąpiła powoli miejsca szarości i Matthew dostrzegł wysoko nad głową zapaloną lampę, płomieniste oko cyklopa patrzące z sufitu, niewyraźne w kłębach pary.

Nie czuł już bólu, tylko ciepło rozchodzące się po ciele, gdy czyjeś wprawne dłonie masowały mu mięśnie brzucha. Jęknął i usiłował wstać. Pchnięto go brutalnie z powrotem na łóżko i rozległ się ostry głos mówiący z amerykańskim akcentem:

— Spokojnie, kochasiu! Tylko bez nerwów!

Zamknął oczy, oddychał głęboko przez chwilę, po czym znów je otworzył.

Pochylała się nad nim kobieta, jakiej w życiu nie widział. Długie czarne włosy okalały twarz mężczyzny, twardą, grubokościstą, z szerokimi mięsistymi wargami.

Miała przeszło sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, a spod podwiniętych rękawów fartucha wyglądały bicepsy, których mógłby jej pozazdrościć zapaśnik.

— Kim pani, u licha, jest?!

— Nazywam się Soames — odpowiedziała spokojnie. — Zdaje się, że pomyliłeś moją płęć, kochasiu.

Brady usiadł i zaczął masować sobie brzuch.

— Telefonował do pani Das, prawda?

Skinęła głową.

— Nigdy nie przypuszczałam, że uda ci się wymknąć policji i dotrzeć do Londynu. Twardy z ciebie gość, kochasiu.

Matthew zawahał się na chwilę.

— Wcześniej usiłowała się z panią zobaczyć pewna dziewczyna. Co się z nią dzieje?

Soames uśmiechnęła się cynicznie.

— Od razu się domyśliłam, że coś ją z tobą łączy, bo ona także pomyliła moją płęć. Twierdziła, że moją klinikę polecił jej zadowolony pacjent. To nie miało żadnego sensu. Zajmuję się wyłącznie mężczyznami.

— Jasne — odpowiedział Brady. — Ale czy jest cała i zdrowa?

Soames kiwnęła głową.

— Na razie.

W jej słowach kryła się groźba, lecz w tej chwili Matthew nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Okręcił się ciałniej ręcznikiem w biodrach i wstał.

— I co teraz?

Otworzyła drzwi i stanął w nich potężnie zbudowany Niemiec.

— Karl zaprowadzi cię do szatni, a później, jak się ubierzesz, do mojego gabinetu. — Zatrzymała się na progu. — Tylko nie próbuj uciekać, kochasiu. Nie chcę, żeby przytrafiło ci się coś złego. Rzadko kiedy mam okazję pogawędzić z rodakiem z Ameryki.

Wyszła, a Matthew odwrócił się w stronę Niemca i pogroził mu zaciśniętą pięścią.

— Jak będziesz miał odwagę stanąć do uczciwej walki, powiedz tylko słowo.

Karl cisnął mu szlafrok prosto w twarz.

— Włóż to, i to migiem!

Nosił obcisłą koszulę, białą marynarkę i białe spodnie. Brady uśmiechnął się.

— Ładnie wyglądasz, Karluniu. Założę się, że starsi panowie wprost przepadają za tobą.

Masażysta poczerwieniał z wściekłości. Przyciągnął go do siebie, wyjął z kieszeni duży rewolwer z krótką lufą i podsunął ją Brady'emu pod nos.

— Teraz albo później, Brady. To dla mnie bez różnicy. Jak chcesz pożyć jeszcze kilka godzin, to morda w kubeł.

Wypchnął go na korytarz i zaprowadził do szatni przez łaźnię z rzędami kabin. Matthew ubrał się bez pośpiechu, myśląc jak szalony. Finał całej sprawy łatwo było przewidzieć, chyba że Niemiec chciał go tylko nastraszyć.

O Anne martwił się bardziej niż o siebie. Kiedy wchodzili schodami na tyłach, wyobraził ją sobie samotną, bezradną; może pod czułą opieką Karla.

Poczuł ogarniającą go zwierzęcą wściekłość i zawahał się, ale Niemiec szturchnął go w plecy lufą rewolweru.

— No, jazda! — warknął.

Soames czekała w gabinecie na końcu korytarza. Pomieszczenie było elegancko i nowocześnie umeblowane, ze ścianami obitymi ręcznie malowanym jedwabiem w pastelowych odcieniach błękitu.

Siedziała przy biurku z blatem z dymnego szkła; podpisywała dokumenty, a z kącika ust sterczała jej długa srebrna cygarniczka.

Obrzuciła go spokojnym wzrokiem.

— Nieźle wyglądasz, kochasiu. Po prostu kwitnąco. Zaczekaj za drzwiami, Karl.

Niemiec spełnił bez szemrania polecenie, a Soames uśmiechnęła się z satysfakcją.

— Karl to dobry chłopiec. Czasami trochę psycho patyczny, ale klienci go uwielbiają.

— Prowadzi pani ciekawą klinikę — rzekł Brady.

Wzruszyła ramionami.

— Daję ludziom to, czego potrzebują. Wszystkie moje dziewczęta to dyplomowane masażystki. Nikt nie może się do mnie przyczepić.

Na stoliku z boku stał imbryk kawy i Soames napełniła dwie filiżanki.

— Śmietanka czy cukier? — spytała.

— Jedno i drugie.

Przesunęła filiżankę po blacie w jego stronę.

— Z której części Stanów pochodzisz?

Odpowiedział i wypił łyk kawy. Była dobra — bardzo dobra. Przełknął resztę i ostrożnie postawił kruche naczynie na biurku.

— Skończmy z tym Wersalem i przejdźmy do rzeczy. Dlaczego zależy pani na mojej śmierci?

Soames również odstawiła filiżankę i zapaliła następnego papierosa.

— Ależ skąd, wcale mi na niej nie zależy.

— A Haras? Przecież to pani skontaktowała go z Dasem, prawda?

Pokręciła przecząco głową.

— Po raz pierwszy usłyszałam o nim, gdy Das wymienił jego nazwisko przez telefon. O to, czy mam w Manningham godnego zaufania człowieka, pytał mnie ktoś inny. Osoba należąca do kręgu moich starych przyjaciół.

— W takim razie to także znajomy Harasa?

— Owszem, kochasiu.

— I nie poda mi pani jego nazwiska?
— O nie, przynajmniej na razie. Rozmawiałam z nią i kazała mi dobrze cię pilnować. Przyjmuj wszystko spokojnie i czekaj na rozwój wypadków.
— Więc to kobieta?
— Tak, kochasiu. Dziwi cię to?
— Nic mnie już nie dziwi. — Brady'ego bolała głowa. Ciemne oczy Soames wydały mu się nagle bezdennie głębokimi studniami. — A co z Anne? — spytał powoli.
— Z twoją przyjaciółką? — Soames wzruszyła ramionami. — Nie martw się o nią. Mam w Port Saidzie koleżankę, która zawsze potrafi wykorzystać świeży talent.
Matthew poczuł w żołądku bryłę lodu.
— Nie uda się to pani! — zawołał.
— Niby dlaczego? — spytała szczerze zdziwionym tonem. — To zdumiewające, jak szybko można nauczyć moresu nawet najbardziej krnąbrne dziewczęta, zwłaszcza jeśli zastosować właściwe metody.
— Ty wredna suko! — krzyknął, lecz własny głos wydał mu się obcy.
Usiłował wstać, ale opuściły go wszystkie siły.
— Odpręż się, kochasiu. Życzę ci długich, przyjemnych snów — powiedziała Soames, obnażając w uśmiechu zęby.
Jej głos dobiegał z bardzo daleka, a Matthew położył głowę na biurku i zasnął.

VIII

Odzyskując powoli świadomość, zdał sobie sprawę, że ktoś bije go mocno dłonią po twarzy. Nie czuł bólu — wcale. Wydawało mu się, że własne ciało już do niego nie należy. Dźwięki dochodziły z wielkiej odległości, jakby zza rzeki, a mimo to słyszał wszystko niezwykle wyraźnie.

— Co z nim? — spytała Soames.

Karl roześmiał się szorstko.

— Przyjdzie do siebie dopiero za parę godzin.

— Do tego czasu będę wiedziała, co zamierzają z nim zrobić — odparła Soames.

Ich głosy powoli ucichły. Zamknięto drzwi. Matthew rozchylił powieki i ujrzał ogromne szare pajęczyny wiszące między ścianami pokoju i falujące lekko w powiewach wiatru.

Zamknął oczy i odetchnął głęboko, walcząc z narastającym lękiem. Kiedy znów je otworzył, pajęczyny prawie zniknęły.

Leżał na wąskiej leżance pod ścianą małego pokoiku. Spostrzegł klosz lampy na suficie i zaciągnięte zasłony w oknie.

Spuścił nogi na podłogę i siedział chwilę na krawędzi łóżka. Czuł w ustach metaliczny smak i miał suchy, opuchnięty język. Czegokolwiek dosypano mu do kawy, było to na pewno coś silnie działającego.

Wstał, zatoczył się, oparł o ścianę, po czym wrócił po omacku na łóżko. Po chwili pajęczyny zniknęły zupełnie i świat przybrał normalny wygląd.

Drzwi były zamknięte na klucz i nie miały świetlika. Usiadł na skraju łóżka i zaczął się zastanawiać nad sytuacją. Nie miał zbyt wiele czasu.

W tej chwili policja zapewne szuka go już w Londynie. Musi się natychmiast stąd wydostać. I raptem przypomniał sobie, co Soames powiedziała o Anne. Coś na temat znajomej w Port Saidzie, która zawsze potrafi wykorzystać świeży talent.

Pracował na Bliskim Wschodzie wystarczająco długo, by wiedzieć, że nie jest to tylko pusta groźba. Podszedł prędko do okna i rozsunął zasłony. Bez trudu uniósł szybę i wyjrzał.

Znajdował się na poddaszu kliniki, a mroczny ogród leżał dziesięć metrów niżej. Od najbliższego okna, widocznego po lewej stronie, dzieliło go co najmniej kilka metrów, toteż nie miał szans go dosięgnąć.

Opuścił szybę, wrócił na łóżko i rozważał przez moment różne możliwości. Wreszcie podszedł do drzwi i zaczął walić w nie pięściami.

Po chwili na korytarzu rozległy się szybkie kroki i gniewny głos Karla:

— Dość tego, Brady, albo wejdę i skuję ci mordę!
Nie przestawał tłuc w drzwi, a Niemiec zaklął or
dynarnie.

— W porządku, sam się prosiłeś!

W zamku szczęknął klucz i poruszyła się klamka,

a Brady oparł się o drzwi całym ciężarem ciała. Karl zaklął i pchnął je mocno ramieniem. Matthew przytrzymał je przez chwilę, po czym odskoczył na bok.

Drzwi otworzyły się, uderzając z łoskotem w ścianę, a Karl wpadł do pokoju i runął na ziemię, wypuszczając rewolwer, który potoczył się po podłodze.

Zaczął gramolić się na nogi, Brady zaś podbiegł do niego i kopnął go z rozmachem w żołądek, aż Niemiec opadł z jękiem na podłogę. Matthew podniósł rewolwer i opuścił pokój, zamykając drzwi na klucz.

Zszedł piętro niżej i natychmiast rozpoznał korytarz, w którym się znalazł. Gabinet Soames znajdował się na końcu; stanął pod drzwiami, słuchał przez chwilę, po czym nacisnął klamkę.

W pokoju panował półmrok, a Soames siedziała przy biurku i czytała coś przy świetle lampy. Matthew wszedł bezszelestnie do gabinetu i zatrzymał się, patrząc na nią uważnie.

Instynktownie wyczuła jego obecność i uniosła szybko oczy w okularach w grubej rogowej oprawce, która nadawała jej dziwnie profesorski wygląd.

— A oto i niespodzianka! — odezwał się cicho.

Odłożyła pióro i spytała spokojnie:

— Co zrobiłeś z Karlem?

— Poczuję się zmęczony, więc zostawiłem go na górze, żeby się przespał.

Soames sięgnęła niedbale w stronę szuflady, lecz Matthew uniósł groźnie rewolwer.

— Spróbuj ją otworzyć, to wpakuję ci kulę w łeb.

Kiedy Soames znów się odezwała, jej głos był w dalszym ciągu spokojny, lecz między brwiami pojawiły się dwie głębokie bruzdy.

— Czego chcesz?

— Na początek dziewczyny.
Zapaliła spokojnie papierosa i pokręciła głową.
— Spóźniłeś się, kochasiu. Jest na pokładzie greckiego statku „Kontoro” w porcie londyńskim i za godzinę wypływa w morze.
— Co to za sztuczki? — spytał.
Wzruszyła ramionami.
— Żadne sztuczki. Już ci mówiłam, że muszę się jej pozbyć. Za dużo wie.
— A w ten sposób jeszcze coś na tym zarobisz, tak?
— Owszem, i nic nie możesz na to poradzić. Absolutnie nic.
— Doprawdy? — W głosie Brady'ego zabrzmiała zimna wściekłość. Wyciągnął groźnie rękę, aż rewolwer znalazł się kilkanaście centymetrów od jej brzucha. — Jeśli statek odpłynie, nim ją stamtąd wydostaniemy, strzelę ci prosto w kałdun, przyrzekam. Grube z ciebie babsko i będziesz się długo męczyła przed śmiercią.
Po raz pierwszy straciła zimną krew.
— Nie ośmielisz się!
— Nie mam nic do stracenia.
Wstała powoli z miejsca.
— Chyba nie będę w stanie jej wyciągnąć. Kapitan Skiros już mi zapłacił i spodziewa się zrobić na niej dobry interes po przyłynięciu do Port Saidu.
— Ile ci dał?
— Pięćset funtów.
— Radzę ci szybko je znaleźć. Czas ucieka.
Soames zdjęła obraz ze ściany i otworzyła niewielki sejf. Po chwili wróciła do biurka z paczką pięciofuntówek przewiązanych gumką.
Matthew wepchnął pieniądze do kieszeni.

— Teraz wybierzemy się na małą przejażdżkę. Mój samochód stoi przed domem. Ty prowadzisz.

— A co zrobimy na statku?

Wzruszył ramionami.

— To zależy od rozwoju sytuacji.

— Skiros to twardy gość, kochasiu — odezwała się Soames. — Nie przepada za ludźmi, którzy usiłują wystrychnąć go na dudka.

— Twoje zadanie polega tylko na wprowadzeniu nas na pokład. Ja zajmę się resztą.

Zeszli cichymi schodami. Soames wzięła płaszcz z szatni, Matthew włożył swój i opuścili klinikę bocznym wyjściem.

W światłach latarni wzdłuż podjazdu srebrzyły się ukośne strugi deszczu. Wyszli przez bramę i skręcili w ulicę. Samochód stał na dawnym miejscu. Matthew otworzył prędko drzwiczki, a Soames z trudem wcisnęła swoje potężne ciało za kierownicę.

Kiedy Brady usiadł obok, odezwała się spokojnie:

— A jak zatrzyma nas policja?

— Módl się lepiej, żeby nas nie zatrzymała — odpowiedział. — Pójdiesz do więzienia razem ze mną, obiecuję ci to.

Wzruszyła ramionami i zapaliła bez słowa silnik. Na ulicach panował duży ruch, a jazdę utrudniały wieczorne ciemności i ulewa, jednakże Soames prowadziła po mistrzowsku i posuwali się do przodu w szybkim tempie.

W miarę zbliżania się do Tamizy ulice stawały się coraz pustsze, aż wreszcie zmieniły się w mroczne wąwozy, wzdłuż których stały ogromne magazyny zamknięte na noc.

Soames zatrzymała auto pod latarnią w wąskim zaułku koło bramy portu. Przez żelazne pręty widać było w dali rzekę: gdzieś zagrzechotała rzucana kotwica i rozległo się przytłumione wycie syreny okrętowej.

— Teraz musimy iść pieszo — powiedziała.

Matthew wysiadł z samochodu i obszedł go. Brama główna była zamknięta, lecz w murze z boku znajdowały się niewielkie metalowe drzwiczki z judaszem; Soames pchnęła je ręką i wkroczyła na teren portu. Portiernia była ciemna i pusta.

— Gdzie jest strażnik? — spytał Brady.

— Pewnie tam, gdzie zawsze. W pubie na końcu ulicy. Nie będzie nam przeszkadzać.

Kiedy skręcili za narożnik pierwszego magazynu, znad rzeki nadpłynęła fala deszczu. Matthew pochylił głowę, chroniąc twarz, i ruszył za Soames po czarnym lśniącem bruku w stronę statku cumującego na krańcu nabrzeża.

„Kontoro” był jasno oświetlony, a z głębi kadłuba dochodziło ciche dudnienie pracujących maszyn. O reling opierał się marynarz pełniący wachtę; wpatrywał się ponuro w deszcz, paląc glinianą fajkę i trzymając w ręku drewniany kołek.

Soames wkroczyła na śliski trap, a Matthew podążył za nią.

— Co za diabeł? — spytał opryskliwie wachtowy.

— Jestem znajomą kapitana — odparła Soames. — Muszę się z nim zobaczyć przed odpłynięciem. To bardzo pilne.

— Dobra, nie mój interes — odpowiedział marynarz.

— Ale lepiej się pośpieszcie. Odpływamy za dwadzieścia minut.

Na pokładzie trwała gorączkowa krzątanina; załoga zabijała luki i szykowała statek do wyjścia w morze. Soames przeszła pomiędzy marynarzami, nie zważając na tłuste dowcipy i ochryple śmiechy, po czym wspięła się po metalowych schodkach na górny pokład.

Pod drzwiami kajuty kapitańskiej zawahała się i odwróciła do Brady'ego.

— I co teraz?

— Powiedz mu, że się rozmyśliłaś — poinstruował Matthew. — Ja zostanę tutaj.

Kiedy otworzyła drzwi, Skiros, piszący coś przy biurku w rogu kajuty, obrócił ku nim głowę. Odznaczał się potężną tuszą i miał wielki obwisły brzuch wyraźnie rysujący się pod wytartym mundurem. Na jego otyłej twarzy, z pozoru wesołej i dobroduszej, lśniły przebiegłe świńskie oczka.

Wyglądał na zdziwionego.

— Droga pani profesor, cóż sprowadza panią tak szybko z powrotem? — spytał poprawną angielszczyzną z lekko słyszalnym obcym akcentem.

Soames uśmiechnęła się sztucznie.

— Sprawa trochę się skomplikowała, Skiros. Przykro mi, ale muszę niestety anulować naszą małą transakcję.

Kapitan nie przestał się uśmiechać, lecz jego oczy stały się nagle twarde i zimne.

— Anulować?! Ależ to niemożliwe, moja droga! Dobiliśmy targu. Pani dostała pieniądze, a ja dziewczynę, więc obie strony powinny być zadowolone.

— Niezupełnie — przerwał spokojnie Matthew. — Pani profesor popełniła pomyłkę. Sprzedała cudzy towar.

Wyjął z kieszeni paczkę banknotów i rzucił ją na biurko.

Skiros roześmiał się, aż jego oczka prawie zniknęły w fałdach tłuszczu.

— Pani przyjaciel odznacza się niezwykłym poczuciem humoru — zwrócił się do Soames. — Czyżby się spodziewał, że oddam dziewczynę w zamian za to, co za

nią zapłaciłem?! W ten sposób nic bym na tym nie zarobił. My, Grecy, nie robimy takich interesów.

— A my, Amerykanie, nie tolerujemy handlu żywym towarem, więc proszę mi wybaczyć pewną obcesowość. — Matthew wyjął z kieszeni rewolwer i odciągnął kurek. — Ta broń ma bardzo delikatny spust. Łatwo mogę go niechcący nacisnąć. Prawdę mówiąc, nacisnę go na pewno, jeśli nie przyprowadzi pan dziewczyny w ciągu najbliższych dziesięciu sekund.

Oczy Greka przypominały twarde, lśniące agaty.

— Jest pan na pokładzie mojego statku, otoczony przez moich marynarzy — stwierdził. — Zwykle nie kwestionują moich rozkazów.

— Chyba powinienem panu przypomnieć, że ostatnio przybrał pan nieco na wadze — rzekł spokojnie Matthew. — Trudno mi będzie spudłować.

— Na pana miejscu zrobiłabym, co każe — wtrąciła prędko Soames. — On nie żartuje, proszę mi wierzyć.

Skiros westchnął, odłożył pióro i wyjął z szuflady pęk kluczy.

— Tak jak zawsze, chylę czoło przed pani mądrością życiową, droga przyjaciółko. Obawiam się jednak, że warunki naszej następnej transakcji będą wymagały pewnych drobnych korekt, choćby po to, by zrekompensować straty oraz przykrości, jakich doznałem w związku z tą pożałowania godną sprawą.

Podszedł do drzwi w jednej ze ścian kajuty i otworzył je.

— Wyjdź! — rzucił ostro i odstepił na bok.

Na progu stanęła Anne Dunning, przygarbiona i złamana. Światło padało na nią z ukosa, podkreślając ostry zarys kości policzkowych i zapadnięte oczy. Drżącą dłonią odgarnęła z czoła kosmyk ciemnych włosów.

Wreszcie spostrzegła Brady'ego i zachwiała się na nogach, bliska omdlenia. Westchnęła z ulgą i rzuciła mu się w ramiona.

Jej smukłe ciało dygotało konwulsyjnie, a Matthew przygarnął ją do siebie lewą ręką i powiedział:

— Uspokój się, Anne. Już wszystko w porządku. Wyciągnę cię stąd.

Kiwnęła kilkakrotnie głową, nie będąc w stanie wykrzusić słowa. Brady spojrział lodowato na Skirosa.

— Co jej pan zrobił?

Grek po raz pierwszy lekko się zafrasował.

— Ależ nic, zapewniam pana, drogi przyjacielu. Nikt nawet jej nie tknął.

— Po południu dałam jej zastrzyk nasenny — wtrąciła Soames. — Jego działanie jeszcze nie minęło. To nic poważnego. Przyjdzie do siebie, jak się dobrze wyśpi.

— To prawda, Anne? — spytał Matthew. — Czy te świnię nie zrobiły ci krzywdy?

Skinęła prędko głową, a usatysfakcjonowany Brady zwrócił się do Soames.

— W porządku. Teraz zrobimy tak. Najpierw pójdiesz ty z dziewczyną, później Skiros, a na końcu ja. Jeden fałszywy ruch któregoś z was, a kapitan zginie, zrozumiano?

Grek wzruszył ramionami i sięgnął po czapkę..

— Jak daleko mamy iść?

— Do bramy portu — odpowiedział Matthew. — Stoi przed nią mój samochód.

— Ostrożny z pana człowiek — stwierdził z krzywym uśmiechem Grek.

— Gdybyśmy się rozstali przy trapie, w połowie nabrzeża miałbym na karku całą pańską załogę, wie pan o tym równie dobrze jak ja. A teraz dość już tej gadaniny. Ruszajmy.

Soames poszła przodem, wspierając potężnym ramieniem Anne, dalej kroczył Skiros, a pochód zamykał Matthew. Trzymał palec na spuście rewolweru w kieszeni płaszcza, lecz okazało się to na szczęście niepotrzebne. Kiedy zeszli po schodkach i ruszyli przez pokład, marynarze obracali za nimi głowy, obrzucając ich zaciekawionymi spojrzeniami, ale kapitan nie dał nic po sobie poznać. Przy trapie poklepał wachtowego po plecach i uśmiechnął się szeroko.

— Nie martw się, idę tylko z przyjaciółmi do bramy. Szykujcie statek do wyjścia w morze. Rzucamy cumy, jak tylko wrócę.

W drodze nikt się nie odzywał. Matthew wręczył Soames kluczyki, a profesor otworzyła drzwiczki i ulokowała Anne na tylnym siedzeniu. Później usiadła za kierownicą.

— Mogę już iść? — spytał Grek.

Brady skinął głową.

— Tak, teraz to już bez znaczenia.

Skiros uśmiechnął się i w świetle latarni jego twarz wydała się wcieleniem poczciwości.

— Życie to wiecznie obracające się koło, drogi przyjacielu. Spotkamy się znowu, a wówczas...

— To mało prawdopodobne — odparł Matthew. — Zamieszkujemy inne światy. Na pańskim miejscu uznalibyśmy to za zrządzenie losu i dał spokój.

Usiadł koło Soames, która zapaliła silnik i odjechała. Kiedy zwolniła, by skrócić za róg, Matthew odwrócił się i wyjrzał przez tylną szybę. Skiros stał w dalszym ciągu pod latarnią i patrzył za nimi.

— Masz ciekawych przyjaciół — rzekł, zapalając papierosa.

Jechali wzdłuż Aldgate i Soames zatrzymała samochód koło wejścia do metra po drugiej stronie jezdni.

— Posłuchaj, kochasiu. Chciałeś dostać z powrotem dziewczynę i dostałeś ją — powiedziała. — Wysiadłabym tutaj, gdybyś nie miał nic przeciwko temu. Jesteśmy kwita.

— Niezupełnie — odrzekł Matthew. — O ile dobrze pamiętam, jesteś mi jeszcze winna pewne nazwisko, prawda?

Popatrzyła nań wyzywająco, lecz po chwili skapitulowała.

— Żałuję, że kiedykolwiek cię spotkałam, ty draniu! Jane Gordon. Mieszka w Carley Mansions przy Baker Street.

— Co ma z tym wspólnego?

Wzruszyła ze znużeniem ramionami.

— Nie wiem. Odwiedziła mnie kilka dni temu. Jeden z jej przyjaciół szukał w Manningham kogoś godnego zaufania, potrafiącego trzymać język za zębami. Miałam wobec niej stary dług wdzięczności i skontaktowałam ją z Dasem.

— Ale przecież do Dasa zgłosiła się nie ona, tylko Haras.

— Czyli że wysłała go tam Jane. Nie wtrącałam się do tego. Kiedy dziś rano zacząłeś węszyć w klinice, zatelefonowałam, że mam cię pod kluczem. Prosiła mnie o zaopiekowanie się tobą przez jakiś czas. Musiała się z kimś skontaktować. Z kimś ważnym. Obiecała zadzwonić do mnie o szóstej wieczór, czyli przeszło godzinę temu.

— Carley Mansions, Baker Street — powtórzył Matthew. Wyciągnął rękę i otworzył drzwi po stronie kierowcy. — Jeśli mnie okłamałaś, jeszcze się zobaczymy.

— Powiedziałam szczerą prawdę, kochasiu — odparła. — Niedobrze mi się robi na myśl, że mogłabym cię znowu spotkać.

Wygramoliła się na chodnik i poszła prosto do metra, nie oglądając się za siebie. Matthew zapalił kolejnego papierosa, patrząc za nią chmurnym wzrokiem. Odwrócił głowę ku Anne, która pólleżała z przymkniętymi oczyma na tylnym siedzeniu.

— Nic ci nie jest?

Otworzyła oczy i skinęła ze znużeniem głową.

— Czuję się świetnie, naprawdę świetnie, mogłabym tylko przespać cały tydzień.

— Wrócę za kilka minut — powiedział. — Później zawiozę cię prosto do domu.

Wysiadł z auta i przeszedł przez jezdnię do metra. Tuż przy wejściu znajdował się rząd budek telefonicznych. W ostatniej widać było rozmawiającą żywo Soames. Obserwował ją przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami, po czym odwrócił się i pośpieszył do samochodu.

Należało przyjąć, że zdążyła ostrzec Jane Gordon, toteż musiał działać bardzo szybko.

Pomimo kiepskiej pogody West End był jak zwykle zatłoczony i dotarcie do Kensington trwało dłużej, niż się spodziewał. Kiedy zatrzymał wreszcie auto na cichym placu, dochodziła już ósma.

Wziął Anne na ręce i wniósł po schodach do mieszkania. Wydawało się, że uległa wreszcie środkowi nasennemu; zaprowadził ją półprzytomną do sypialni i zdjął z niej prędko ubranie.

Zadygotała lekko w chłodnych powiewach ciągnących od okna; położył ją do łóżka i nakrył kocem. Jej włosy rozsypały się na poduszce niczym ciemna aureola. W pewnej chwili jęknęła cicho; pochylił się, pocałował ją i wyszedł prędko z pokoju.

W samochodzie znajdował się plan centrum Londynu i Matthew odszukał prędko Baker Street. Dojechanie

tam nie mogło zająć więcej niż kwadrans. Ruszył pustawymi ulicami, minął Kensington Gardens i skręcił w Bayswater Road. Ostrożność kazała mu zaparkować wóz w pobliżu stacji metra na Bond Street i pokonać resztę drogi pieszo.

Carley Mansions okazało się imponującą kamienicą na rogu Baker Street i Marylebone Road. Dom wyglądał niezwykle ekskluzywnie. W eleganckiej mosiężnej gablocie przy wejściu wisiała lista lokatorów. Jane Gordon mieszkała w apartamencie numer osiem na trzecim piętrze.

W hallu znajdowała się oszklona portiernia, w której siedział czytając tygodnik portier w mundurze ze złotymi galonami. Brady obserwował go; wtem zadzwonił telefon. Mężczyzna podniósł leniwie słuchawkę i stanął tyłem do wejścia, opierając się o kontuar.

Matthew nie wahał się ani chwili. Pchnął ciężkie szklane drzwi, przeszedł bezszelestnie po grubym dywanie i ruszył schodami na górę.

Kamienica wyglądała na świeżo odnowioną i doskonale zabezpieczoną przed hałasem. Kiedy wspinał się na trzecie piętro, otaczała go wręcz niesamowita cisza.

Apartament numer osiem znajdował się na końcu korytarza. Zastukał lekko do drzwi i czekał. Żadnej odpowiedzi. Zapukał jeszcze raz i nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się bez oporu.

W mieszkaniu paliły się światła, lecz nie było nikogo. Kilka szerokich stopni wiodło w dół do luksusowo umeblowanego salonu o przeszklonej ścianie, za którą rozciągała się wspaniała panorama Londynu.

Po lewej stronie znajdowało się niewielkie okienko pozwalające zajrzeć do kuchni. Panował w niej półmrok, ale przez lekko uchylone drzwi sypialni wpadała do pokoju smuga światła.

Najpierw zauważył pantofelek leżący na środku dywanu, wąski i elegancki, z wysoką szpilką kojarzącą się nieodparcie z narzędziem zbrodni.

Na łóżku widać było zwłoki kobiety z zadartą nieskromnie spódnicą i smukłą dłonią wczepioną w puszysty dywan. Wygląd ran wskazywał, że ktoś dwukrotnie strzelił jej z bliska w plecy z parabellum.

Było jasne, że zginęła przed kilkoma minutami, bo w powietrzu w dalszym ciągu unosił się kwaśny odór prochu. Matthew westchnął głęboko, przykucnął i przewrócił ją na wznak.

Popatrzył na jej twarz i na moment stracił oddech, jakby ktoś zadał mu zdradziecki cios poniżej pasa. Nie leżała przed nim Jane Gordon, tylko kobieta, którą znał krótko pod nazwiskiem Marie Duclos. Kobieta, której zmasakrowane, okaleczone zwłoki widział ostatnio w sypialni w mieszkaniu w Chelsea. Kobieta, za której zamordowanie skazano go na karę śmierci.

Przez jedną starszliwą chwilę myślał, że traci zmysły, a później zupełnie nagle zrozumiał prawdę, a przynajmniej jej część.

Zaczął wstawać, gdy wtem coś zaszurało mu za plecami. Kiedy się odwracał, wyciągając z kieszeni rewolwer, spadła mu na kark czyjaś pięść i runął z okrzykiem bólu na podłogę.

IX

Gdy otworzył oczy, leżał na brzuchu obok zwłok. Zmieniło się tylko jedno. W prawej ręce ścisnął mocno pistolet „Mauzer” z pękającym tłumikiem przykręconym do lufy.

Broń wydawała się znajoma — niepokojąco znajoma. To właśnie z niej strzelał do niego Anton Haras.

Stracił przytomność co najwyżej na pięć minut, przynajmniej to było oczywiste. Wstał z wysiłkiem, usiadł na skraju łóżka i zaczął masować sobie kark.

Co za durniem się okazał! Co za ślepym, zadufanym durniem! Świeży zapach prochu w powietrzu, jeszcze ciepłe zwłoki. Nie ulegało wątpliwości, że kobieta zginęła zaledwie kilka minut wcześniej. Może śmiertelne strzały oddano, gdy wspinał się po schodach? Szedł jak baran na rzeź!

Jedno było pewne. Gdyby schwytano go tu policja, byłby skończony, i niewątpliwie to właśnie zamierzał osiągnąć Haras. Tym razem Matthew nie wyszedłby już z celi śmierci aż do pewnego szarego, zimnego poranka, gdy odbyłby ostatnią, gorzką wędrówkę na szubienicę.

W sypialni panował straszliwy bałagan: widać było

wyciągnięte szuflady, rozrzuconą odzież. Mało prawdopodobne, że Węgier przeoczył coś obciążającego.

Matthew wrócił prędko do salonu. Wspinając się po schodkach do drzwi frontowych, zatrzymał się nagle. Na oparciu krzesła wisiał lekki damski płaszcz przeciwdeszczowy, a pod nim torebka. Gdy pojawił się Haras, kobieta najwyraźniej zbierała się do wyjścia.

Wytrząsnął szybko zawartość torebki na podłogę i rozgarnął ręką. Kilka banknotów, monety, szminka, emaliowana puderniczka, kluczyki od samochodu.

Był także list, świeżo otwarty, z aktualną datą na stemplu. Schludnym, kanciastym charakterem pisma zaadresowano go do Jane Gordon, Carley Mansions, Baker Street. Matthew wyjął z koperty arkusik papieru i przeczytał go.

Notatka była niezwykle lakoniczna:

Droga Jane!

Muszę się koniecznie z tobą spotkać dziś wieczorem.

Przyjdź do mnie o dziewiątej.

Twoja kochająca matka

Jednakże najbardziej interesujący okazał się adres w nagłówku: *Edgbaston Square 2, Chelsea*. Przy Edgbaston Gardens mieszkała Marie Duclos. Cóż to, u licha, mogło znaczyć?!

Na moment stanął mu przed oczami rząd wąskich wiktoriańskich willi, kościół i cmentarz na rogu, i poczuł przyptyw pierwotnego, instynktownego lęku, aż zjeżyły mu się włosy na głowie. Bał się, bał się tam wracać.

Zaśmiał się ponuro, odsuwając od siebie owe myśli, i otworzył drzwi. Musiał wrócić, cokolwiek go tam czekało. Nie miał wyboru.

Kiedy dotarł do hallu, portier wciąż drzemał nad

czasopiśmem. Matthew wymknął się prędko przez drzwi i zniknął w mroku, nim mężczyzna zdążył unieść głowę.

Kroczył śpiesznie chodnikiem. Nagle w nocnej ciszy rozległo się wycie syreny i zza rogu Marylebone Road wyjechał pędem wóz policyjny, który zatrzymał się z piskiem hamulców przed Carley Mansions.

Matthew przyspieszył kroku. Po kilku minutach skręcił w ruchliwą Oxford Street, wszedł do auta i odjechał.

W powietrzu unosiła się mgła, specyficzny londyński smog nadpływający z Tamizy, żółty i groźny, spowijający miasto niczym całun.

Przynajmniej czynił on poruszanie się Brady'ego po mieście mniej niebezpiecznym. Minął stojącego na rogu policjanta w pelerynie mokrej od deszczu i zatrzymał się, by przepuścić pieszego, a policjant kiwnął ręką, nakazując mu jechać dalej. Matthew uśmiechnął się. Jak to mawiał stary Joe Evans? *Najlepsza kryjówka przed glinami jest pod samym ich zasmarkanym nosem.*

Policja prawdopodobnie szczególnie starannie obserwuje statki, spodziewając się, że Matthew zechce popłynąć z powrotem do Ameryki. Dotarł do Sloane Square i po chwili zatrzymał się nad brzegiem Tamizy nie opodal miejsca, gdzie wszystko się zaczęło.

Stanął pod tą samą latarnią, zapalił papierosa, popatrzył na rzekę i na moment czas utracił wszelkie znaczenie.

Odwrócił się, przeszedł przez jezdnię i ruszył chodnikiem w gęstniejącej mgle. Z drzew kapały ponuro krople deszczu i większość liści już opadła. Przystanął na rogu i uniósł oczy na staroświecką białą emaliowaną tablicę z niebieskim napisem: EDGBASTON GARDENS, po czym podążył dalej.

Wykop dawno zasypano, a dom był zamknięty i ciemny. Matthew spojrzął na niego, myśląc o wydarzeniach,

jakie się tu rozegrały, przypominając sobie thimek stłoczony przy barierce, chwilę paniki, gdy poczuł się jak zaszczute zwierzę, przywarł plecami do ściany i czeka! na atak. Początek długiego koszmaru.

Minął cmentarz, mokry, cichy i tajemniczy za ogrodzeniem z metalowych prętów. Kościół stał na rogu i jakaś tajemnicza intuicja podpowiedziała Brady'emu, co zobaczy, gdy skręci w następną przecznicę i spojrzy na tabliczkę. Dom przy Edgbaston Square dwa przylegał do terenu kościoła, podobnie jak dom przy Edgbaston Gardens.

Wspiął się po schodach do drzwi. Na ganku paliło się światło: ujrzał czarną metalową ramkę ze schludnym napisem: MADAME ROSE GORDON. TYLKO OSOBY ZAPISANE.

Kilka kroków dalej stało zaparkowane auto i odwrócił się, by mu się przyjrzeć, gdy nagle usłyszał ruch wewnątrz domu. Zbiegł prędko ze schodów i przycisnął się w cieniu.

Drzwi otworzyły się i na ganek wyszła kobieta w futrze. Odwróciła się i rzekła do kogoś w środku:

— Bardzo mi pani pomogła, madame Rose. Nie będę mogła się doczekać naszego następnego spotkania w przyszłym tygodniu.

Matthew nie dosłyszał odpowiedzi. Drzwi się zamknęły, a kobieta w futrze zeszła schodami do auta i po chwili odjechała.

Stal przez minutę w mroku, spoglądając ze zmarszczonym czołem na dom, po czym odwrócił się, ruszył z powrotem wzdłuż frontu kościoła i wszedł na jego teren główną bramą.

Witraże w oknach przypominały kolorowe ułamki tęczy, mgliste i rozmazane niczym obrazy impresjonistów. Słychać było przytłumione tony organów. Wieżę

otaczały żelazne rusztowania, a Matthew ominął kupę gruzu i skierował się w stronę ciemnych zarośli.

Bez trudu odnalazł ogród domu madame Rose. Od cmentarza oddzielał go dwumetrowy kamienny mur z wąskimi drewnianymi drzwiczkami na skraju.

Były zamknięte. Szarpnął kilkakrotnie za klamkę, po czym odwrócił się i poszedł między nagrobkami w przeciwną stronę. Kiedy zbliżał się do ogrodu na tyłach domu Marie Duclos, rozległ się czyjś cichy głos:

— Przepraszam, czy mógłbym panu w czymś pomóc?

Odwrócił się prędko. W świetle rzucanym przez boczne okna kościoła widać było siwowłosego starszego pana w podniszczonej tweedowej marynarce, z koloratką na szyi.

Matthew podszedł do niego z uprzejmym uśmiechem.

— Zdaję sobie sprawę, że może to zabrzmieć trochę po wariacku, ale szukam pewnego nagrobka. Podobno pochowano tu mojego pradziadka.

— Ach, jest pan Amerykaninem — rzekł pastor. — Cóż, obawiam się, że dziś wieczorem nic już pan nie znajdzie. Powinien pan przyjść jutro rano. Ja też tu będę. Mógłbym zajrzeć do ksiąg parafialnych.

Matthew usiłował mówić tonem głębokiego żalu.

— To bardzo miło z pańskiej strony, ale niestety odlatuję jutro do Stanów. — Zaśmiał się cicho. — Przynajmniej udało mi się zobaczyć kościół, a to już coś.

— Jest cudowny, prawda? — spytał starszy mężczyzna, w którego głosie zabrzmiał szczery entuzjazm. — Oczywiście został ciężko uszkodzony w trakcie nalotu podczas wojny. Stąd to rusztowanie wokół wieży. Jest szalenie ciekawy pod względem architektonicznym, choć wymaga natychmiastowego remontu.

— Szkoda, że nie zostanę dłużej w Londynie — po-

wiedział z żalem Matthew. — Chętnie wziąłbym udział w nabożeństwie.

— Przykro mi, ale to niestety wykluczone — stwierdził pastor. — Od nalotu świątynia grozi zawaleniem, toteż nie odważamy się urządzać nabożeństw. Jestem obecnie wikarym innego kościoła, ale zaglądam tu od czasu do czasu, by pograć na organach. — Westchnął. — Obawiam się, że niebawem wszystko i tak pójdzie pod młotek.

— Zauważyłem na tyłach furtkę w murze prowadzącą do ogrodu sąsiedniego domu — odezwał się Brady. — Czy to tam była plebania?

Starszy pan pokręcił głową.

— Nie, tam mieszkał zakrystian. — Wskazał ręką dom przy Edgbaston Gardens. — Plebania znajdowała się po przeciwnej stronie.

Matthew usiłował mówić niedbałym tonem.

— Wstąpiłem na drinka do pubu na rogu i pytałem o drogę. Właściciel powiedział, że kilka miesięcy temu koło kościoła popełniono straszną zbrodnię.

— Tak, to niestety prawda — odpowiedział pastor. — Okropna historia. Zamordowano młodą kobietę mieszkającą na piętrze starej plebanii. Bardzo to nami wstrząsnęło.

— Z pewnością — przyznał Matthew. Odwrócił się i popatrzył na dom. — Ale dziwi mnie jedno. Zakrystian mógł się dostać do kościoła krótszą drogą przez furtkę w murze, a pan nie. Musiało to być bardzo niewygodne.

— Ależ ja także mogłem iść krótszą drogą! — zaproponował pastor. — W nocy nie sposób tego zauważyć; zresztą nie byłoby to łatwe nawet przy świetle dziennym. Na tyłach ogrodu jest w ogrodzeniu niewielka bramka. Parę dni temu zauważyłem, że zupełnie zarosły ją azalie. Nie używano jej od lat.

— Tak, teraz już wszystko rozumiem. — Znaleźli się

przed frontem kościoła i Matthew postawił kołnierzą płaszcz, bo znów zaczęło padać. — Cóż, chyba zabrałem już panu zbyt wiele czasu. Pora na mnie. Starszy pan uśmiechnął się ciepło.

— Skądże znowu, rozmowa z panem sprawiła mi wielką przyjemność. Szkoda tylko, że nie może pan wpaść jutro.

Matthew odszedł prędko ścieżką, słysząc za sobą skrzyp otwieranych i zamykanych drzwi. W chorobliwie żółtym świetle latarni lśniły strugi deszczu. Skręcił w Edgbaston Square i wspinał się po schodkach domu numer dwa. Nacisnął guzik dzwonka i czekał.

W hallu rozległo się szuranie i za mleczną szybą ukazała się niewyraźna postać. Drzwi szcęknęły, uchyliły się o kilka centymetrów i Matthew ujrzał w szparze starą kobietę.

Miała suchą, pomarszczoną twarz i nosiła niemodny kucyk oraz długie kolczyki z dżetów. Brady widział ją już wcześniej, w nocy, gdy zamordowano Marie Duclos — ukazała się wówczas na moment w drzwiach na parterze.

Stał w głębokim cieniu.

— Madame Rose? — spytał.

Skinęła głową.

— Tak, to ja.

Miała starczy, dziwnie martwy głos, kojarzący się z szelestem suchych liści wieczorem w lesie.

— Czy mogłaby mi pani poświęcić kilka minut?

— Pragnie pan poradzić się gwiazd?

Kiwnął głową.

— Owszem, powiedziano mi, że może mi pani pomóc.

— Przyjmuję wyłącznie osoby zapisane, młody czło wieku. Muszę być bardzo ostrożna. Policja jest w tych sprawach bardzo rygorystyczna.

— Jestem w Londynie tylko przejazdem — nalegał Matthew. — Jutro rano lecę do Stanów.

Westchnęła.

— Och, w takim razie zgoda, ale mogę poświęcić panu tylko pół godziny. Spodziewam się gościa.

Przedpokój, wyłożony dębową boazerią, sprawiał posępne wrażenie. Kobieta zamknęła drzwi, a później odwróciła się i spojrzała na Brady'ego, marszcząc lekko brwi.

— Pańska twarz wydaje mi się dziwnie znajoma. Na pewno nigdy się nie spotkaliśmy?

— Jestem Amerykaninem — odpowiedział. — To moja pierwsza wizyta w Anglii.

— Musiałam się pomylić.

Poprowadziła go korytarzem, odsunęła ciemną aksamitną kotarę i otworzyła masywne drzwi.

W pokoju, do którego weszli, panował nienaturalny spokój; w oknach od ulicy wisały ciężkie story, nie dopuszczające hałasu. Jedyne źródło światła stanowiła lampa na niskim stoliku. W stosie polan na kominku płonęła czerwona żarówka imitująca ogień, a powietrze było nieprzyjemnie przegrzane. Matthew rozpiął płaszcz i usiadł przy stole.

Wróżbitka zajęła miejsce naprzeciwko niego. Koło jej łokcia leżało kilka książek, przed nią zaś blok czystych arkuszy papieru. Wzięła do ręki ołówek.

— Niech pan mi poda datę, miejsce i godzinę urodzenia. Czas odgrywa niezwykle ważną rolę, więc proszę bym o ścisłość.

Matthew udzielił jej żądanych informacji i spojrzał w zamyśleniu w kąt pokoju, gdzie armie cieni zmagaly się z kręgiem światła rzucanego przez lampę. Zastanawiał się, co powiedzieć, lecz postanowił czekać, aż pojawi się jakiś punkt zaczepienia.

Kobieta zajrzała do kilku książek, notując coś szybko na kartce; na koniec odchrząknęła i spytała:

— Wierzy pan w astrologię, młody człowieku?

— Gdybym nie wierzył, nie byłoby mnie tutaj — odparł. Skinęła głową.

— Ma pan równie sprawne obie ręce?

Była to bardziej konstatacja niż pytanie i Matthew odpowiedział zdziwionym tonem:

— Tak, to prawda. Skąd pani wie?

— To normalna cecha ludzi urodzonych pod znakiem

Skorpiona — wyjaśniła i zajrzała do notatek. — Życie jest dla pana polem bitwy.

— Można to i tak ująć — potwierdził Brady.

Skinęła powoli głową.

— W zenicie pańskiego horoskopu połączyły się Mars,

Słońce i Neptun, co wskazuje, że ma pan cięty język i porywczy temperament. Odznacza się pan niebezpieczną

skłonnością do przemocy, która może się przejawiać w wybuchowej formie. Z natury rzeczy odnosi się pan do ludzi podejrzliwie. Pańskim największym wrogiem jest pan sam.

Matthew odchylił się do tyłu i roześmiał szorstko.

— No nie! To doprawdy kapitalne!

Stara kobieta uniosła na niego oczy, które zamigotały w świetle lampy.

— Mam wrażenie, że to, co powiedziałam, wydało się panu komiczne, młody człowieku.

— Nie jestem już wcale taki młody — zareplikował Brady.

Starannie ułożyła książki jedna na drugiej i zebrała papiery.

— Kto właściwie mnie panu polecił? Proszę wybaczyć, ale nie dosłyszałam nazwiska.

— Nie wymieniłem go. Jestem znajomym pani córki, Jane Gordon.

— Doprawdy? — Zmarszczyła brwi. — Niedługo się przekonamy. Spodziewam się jej lada chwila.

— Obawiam się, że potrwa to dłużej, niż pani myśli — rzekł spokojnie. — Pani córka nie żyje.

Wydawało się, że jej twarz więdnie nagle na jego oczach, zmieniając się w pomarszczony, pożółkły pergamin. Uniosła dłoń do ust, rozkaszała się konwulsyjnie i zaczęła się dusić.

Matthew obszedł stół, zbliżył się do niej i zauważył, że ściska kurczowo rączkę szuflady. Wysunął ją i znalazł niewielką szklaną fiolkę z białymi tabletkami. Na kredensie stała karafka z wodą. Nalał jej prędko do szklanki i podał kobiecie, która popiła dwie tabletki.

Po chwili westchnęła i z jej gardła wyrwał się suchy szloch.

— Mam słabe serce — wymamrotała. — Muszę unikać wzruszeń.

— Przykro mi — stwierdził Matthew. — Nie jest to wiadomość, którą można przekazać w miłej formie, zwłaszcza ze względu na okoliczności sprawy.

Co najdziwniejsze, ani przez chwilę nie kwestionowała prawdziwości jego słów.

— Kto ją zabił?

— Niejaki Haras. Anton Haras. Zna go pani?

— Znam — przyznała, kiwając głową i wpatrując się nie widzącym wzrokiem w mrok. Uniosła ciemne oczy i spojrzała prosto na niego. — Kim pan właściwie jest, młody człowieku?

— Nazywam się Matthew Brady — odpowiedział bez wahania.

— Ach tak — mruknęła. — Od dawna przeczuwałam, że pan przyjdzie.

— Była tam pani tamtej nocy, prawda? Kto wtedy odwiedził pani córkę?

— Miklos Davos — szepnęła.

Matthew zmarszczył brwi.

— Ten nafciarz, multimilioner?

Skinęła głową.

— Niektórzy uważają go za najbogatszego człowieka na świecie. Ja wiem tylko, że jest najgorszy.

— Proszę mi opowiedzieć, co się wtedy zdarzyło.

Kiedy wspominała przeszłość, mówiła głuchym, nie obecnym głosem.

— Moja córka uprawiała haniebny proceder, panie Brady. Była z zawodu madame, burdelmama, niech pan to nazywa, jak chce. Figurowała jako właścicielka wielu nieruchomości, które należały w istocie do Davosa.

— Kochała go?

— Kochała?! — Wróżbitka roześmiała się ochryple. — Zawładnął jej ciałem i duszą. Uważała go za wcielenie doskonałości. Dostarczała mu po kolei młodych kobiet, aby mógł zaspokajać swoje odrażające pragnienie zadawania bólu. To zwyrodnialec, brutalny sadysta nieustannie poszukujący nowych podniet.

— A Marie Duclos?

Stara kobieta wzruszyła ramionami.

— Była Francuzką, która z jakiegoś powodu szczególnie przypadła mu do gustu. Usunął z domu drugiego lokatora i zainstalował ją w mieszkaniu na górze. Odwiedzał ją przez dwa miesiące dzień w dzień.

— Chodził przez kościół?

Pokręciła przecząco głową.

— Nie, z wyjątkiem tygodnia, gdy rozkopano jezdnię. Nie chciał, żeby widział go dozorca.

— Dlaczego ją zabił?

— Usiłowała go szantażować. Wyjątkowo głupi pomysł, bo Davos łatwo wpada w szał i traci zupełnie panowanie nad sobą. Odwiedził tamtej nocy moją córkę, a ja poszłam za nimi na cmentarz, ukryłam się w krzakach i podsłuchiłam, jak opowiadał, co się stało. Martwiło ją tylko to, że Davos może mieć kłopoty.

— I co pani zrobiła?

— Cóż mogłam zrobić? Jestem tylko starą kobietą, a moja własna córka stała się dla mnie obcym człowiekiem. Powiedział jej, że jest pewne rozwiązanie, że należy tylko znaleźć kozła ofiarnego dla policji. Że nie trzeba daleko szukać, skoro tuż za rogiem jest Tamiza. Że wystarczy pierwszy lepszy pijak śpiący na ławce.

— I przypadkiem okazałem się nim ja — dokończył gorzko Matthew.

Poczuł na karku podmuch powietrza i usłyszał skrzyp otwieranych drzwi. Odwrócił się powoli, sięgając do kieszeni płaszcza, gdy wtem rozległ się znajomy głos:

— Ręce do góry, Brady!

Do pokoju wszedł Haras, którego opalizujące okulary załśniły w świetle lampy. Matthew uniósł powoli ręce, a Węgier odebrał mu mauzera i wsunął do swojej kieszeni.

— Teraz może pan już opuścić ręce.

Trzymał w ręku rewolwer należący uprzednio do Karla i uśmiechał się z satysfakcją.

— Przepraszam za spóźnienie, ale utknąłem w korku na Oxford Street i zgubiłem pana. Nawiasem mówiąc, czekałem przed Carley Mansions. Przeżyłem gorzki zawód, gdy wymknął się pan przed przybyciem policji,

ale jakiś szósty zmysł podpowiedział mi, że pana tu spotkam. Całkiem nieźle pan sobie radzi, Brady.

— Jak na pierwszego lepszego pijaka śpiącego na ławce, co? — spytał z goryczą Matthew.

— Ach, więc ta stara wiedźma zdążyła już otworzyć dziób? — Węgier uśmiechnął się dobrodusznie. — Będę musiał się nią zająć.

Stał z dala od stołu, promieniejąc z zadowolenia. Madame Rose wpatrywała się weń nieruchomym, wściekłym wzrokiem.

— Ty podła świnio! — zawołała i zaczęła podnosić się z fotela.

— Siedź, suko! — warknął Haras.

Kiedy Węgier obrócił oczy na starą kobietę, Brady chwycił lampę i wyrwał sznur z kontaktu, pograżając pokój w ciemności.

Haras strzelił dwukrotnie, a madame Rose osunęła się z krzykiem na podłogę. Leżała w czerwonej poświacie rzucanej przez kominiek; po jej twarzy spływała krew z wielkiej rany na czole.

Matthew przykucnął na moment obok dużego uszatego fotela, po czym poczołgał się wokół staroświeckiej kanapy, zmierzając ku drzwiom.

Haras stał w dalszym ciągu koło stołu; jego potężna sylwetka rysowała się wyraźnie na tle kominka.

— Nie uciekniesz, Brady — odezwał się. — Jesteś bez szans. Mam pistolet i rewolwer.

Matthew przypomniał sobie, że w rewolwerze zostały cztery naboje, a Węgier wystrzelił dwa. Wczołgał się za inny fotel kilka metrów od drzwi i ostrożnie zdjął z niskiego stolika porcelanową figurkę przedstawiającą kota.

— Moja cierpliwość jest na wyczerpaniu, Brady! — rzucił gniewnie Haras.

Matthew cisnął porcelanowego kota w przeciwny kąt pokoju. Bibelot rozbił się o ścianę, a Węgier strzelił raz po raz w tę stronę. Brady skoczył ku drzwiom, otworzył je i popędził korytarzem na tyły domu.

Za jego plecami rozległo się wściekłe przekleństwo. Wpadł do przestronnej kuchni i pobiegł prosto ku drzwiom na końcu. Były zamknięte, a gdy zmagął się rozpaczliwie z kluczem, usłyszał specyficzne przytłumione kasznięcie mauzera z tłumikiem i obsypały go drewniane drzazgi wyłupane przez kulę tuż nad jego głową.

Zdołał w końcu otworzyć drzwi, po czym zbiegł po schodach do ogrodu, przeskakując po dwa stopnie naraz. Ujrzał przed sobą wysoki mur otaczający teren kościoła.

Kiedy dotarł do drewnianej furtki, Haras znajdował się już w połowie ścieżki. Brady kopnął dwukrotnie drzwi, łamiąc kruche deski wokół zamka. Znów rozległo się kasznięcie mauzera, lecz Matthew przedostał się na drugą stronę i pobiegł skulony między nagrobkami.

W gęstniejącej mgle w dalszym ciągu płonęły różnobarwne smugi światła z wysokich witraży. Ukrył się za wysokim grobem i wyczuł słuch. Na cmentarzu panowała martwa cisza, toteż po chwili ruszył z pochyloną głową w kierunku kościoła, obszedł wieżę i zatrzymał się.

Z wnętrza gmachu dochodziły przytłumione tony organów. Obrócił spoconą twarz i ujrzał otwartą bramę prowadzącą na ulicę. Zrobił krok w jej kierunku, gdy wtem zza przypory w odległości około dziesięciu metrów wyszedł Haras, w którego okularach zamigotało światło.

Węgier najwyraźniej okrążył kościół z przeciwnej strony. Kiedy unosił mauzera, Matthew cofnął się w mrok u podnóża wieży i zaczął wchodzić na stalowe rusztowanie.

Po chwili zniknął we mgle. Piął się szybko coraz

wyżej, zręcznie przechodząc z rury na rurę. Po dwóch minutach dotarł do wąskiego pomostu z desek i zorientował się, że nie ma już dokąd iść.

Staął i wyteżył słuch, łowiąc najdrobniejsze dźwięki. Wokół panowała martwa cisza; nagle powiał chłodny wiatr, aż Matthew zadrżał mimo woli z zimna.

Zaczął posuwać się powoli wzdłuż pomostu, lecz raptem nie opodal zaskrzypiała deska i rozległ się cichy głos Harasa:

— Dobrze wiem, że tu jesteś.

Kaszlnął mauzer, a kula bzyknęła Brady'emu koło ucha. Cofnął się ostrożnie i zaczął zdejmować płaszcz.

W pewnej chwili zahaczył nogą o żelazną rurkę, która potoczyła się po pomoście i spadła w dół.

Haras ruszył prędko do przodu z wciągniętymi rękami. Strzelił, lecz kula odbiła się z brzękiem od stalowego wspornika. W tym momencie Matthew zarzucił płaszcz prosto na głowę Węgra, który wydał z siebie przytłumiony okrzyk i cofnął się odruchowo, robiąc krok w próżnię. Przez jedną straszliwą sekundę zdawał się wisieć nieruchomo w powietrzu, po czym pochłonęła go mgła.

Brady'emu drżały ręce, a jego koszula była mokra od potu, lecz bez wahania spuścił nogi z pomostu i zaczął schodzić z rusztowania.

Haras leżał na wznak na ścieżce dobrych kilkanaście metrów od podstawy wieży. Klęczał koło niego stary pastor. Uniósł głowę i popatrzył na zbliżającego się Amerykanina.

— Nie żyje? — zapytał Matthew.

Starszy pan skinął głową.

— Obawiam się, że tak.

Węgier spoglądał martwo w przestrzeń szeroko otwartymi oczyma. Miał na wargach krew.

— Przed chwilą zamordował kobietę — odezwał się Brady. — Mieszkała w dawnym domu zakrystiana.

Stary pastor wstał powoli.

— Ma pan na myśli panią Gordon? Ale dlaczego? — Zbliżył się, popatrzył uważnie i nagle doznał olśnienia. — Już wiem, kim pan jest! Nazywa się pan Matthew Brady! Rozesłano za panem listy gończe! Widziałem dziś w gazecie pańskie zdjęcie!

Matthew odwrócił się i odszedł prędkim krokiem. Znalazłszy się na ulicy, zaczął uciekać. Po chwili siedział już za kierownicą samochodu.

X

Miklos Davos mieszkał w dzielnicy Mayfair. Matthew znalazł jego adres w książce telefonicznej w pierwszej budce, do której wstąpił. Po powrocie do samochodu drżały mu ciągle ręce i wypalił przed odjazdem papierosa.

Stary pastor na pewno zawiadomił już policję, która wie, że Matthew przebywa w Londynie. Gdy powiążą ze sobą śmierć Jane Gordon, jej matki i Harasa, rozpoczną poszukiwania na wielką skalę.

Istniała tylko jedna szansa. Musiał dotrzeć do Davosa i wydusić z niego prawdę, bo był on jedyną osobą znającą rzeczywisty przebieg wydarzeń.

Zręcznie manewrował pojazdem na zatłoczonych ulicach, usiłując sobie przypomnieć, co właściwie wie o Davosie. Nie było tego zbyt wiele.

Był z pochodzenia Węgrem, co tłumaczyło jego związek z Harasem. Miał opinię człowieka ekscentrycznego i tajemniczego: unikał rozgłosu jak zarazy. Kontrolował jakoby prawie cały zachodni rynek ropy naftowej. Stworzył własne imperium finansowe, bezlitośnie niszcząc wszelką konkurencję.

Brady zacisnął zęby i skręcił w cichą uliczkę koło Park

Lane. Cóż, najwyższy czas, żeby ktoś wreszcie utarł Davosowi nosa.

Domy, pochodzące z początków dziewiętnastego wieku, były pięknie odrestaurowane. Gdzieś odbywało się chyba przyjęcie, bo cała ulica była zastawiona samochodami.

Davos mieszkał pod numerem dwadzieścia. Matthew zaparkował wóz w wolnym miejscu, wspiął się po schodach do drzwi frontowych i nacisnął dzwonek.

W środku rozległ się śmiech, kilka taktów muzyki, a na koniec głośne przekleństwo. Wreszcie drzwi otworzyły się gwałtownie, uderzając z trzaskiem w ścianę.

Mężczyzna, który stanął naprzeciwko Brady'ego był kompletnie pijany. Nosił sztruksową marynarkę, miał bladą cerę, krótką półkolistą brodę i maślane oczy.

— No i czego się dobijasz? Przecież otwarte! — wybełkotał i odszedł.

W ciemnym hallu paliło się tylko kilka świec. Zza drzwi na końcu dobiegał przeraźliwy zgiełk świadczący o znakomitej zabawie, choć radosne okrzyki i rytmiczna młodzieżowa muzyka dochodziły także z pokoju po prawej stronie.

Uchylił drzwi na końcu korytarza i ujrzał skłębiony, hałaśliwy tłum. Wydawało się, że wszyscy uczestnicy przyjęcia krzyczą do siebie jednocześnie na całe gardło. Okna były szczelnie zasłonięte, a pokój oświetlały świece wetknięte w butelki po winie i ustawione w różnych miejscach sali.

Zdziwił się. Nie tak wyobrażał sobie przyjęcia wydawane przez Davosa. Kojarzyło się to raczej z jego czasami studenckimi na Uniwersytecie Columbia, gdy mieszkał w Greenwich Village. Prawie wszyscy młodzi ludzie byli długowłosi, brodaci i wąsaci.

W rogu stał prowizoryczny bar złożony z deski leżącej

na dwóch baryłkach piwa. Obsługujący go mężczyzna wyraźnie nie mógł nadażyć z zaspokajaniem popytu; Matthew wziął od niego szklankę piwa i odszedł.

Uczestnicy przyjęcia nie sprawiali najlepszego wrażenia; byli w większości pijani i skłonni do głupich żartów. Jeden z nich usiłował spełnić toast, stojąc na rękach na stole. Kiedy stracił równowagę, tłum zaryczał radośnie, a odchodzący Matthew, popchnięty przez kogoś, wytrącił młodej dziewczynie z ręki szklankę.

— Bardzo przepraszam — powiedział. — Przyniosę pani drugą. Co to było?

— Ach, nie trzeba. Wołałabym raczej papierosa, gdyby mógł mnie pan poczęstować.

Wyglądała co najwyżej na siedemnaście lat, miała okrągłą, bladą twarz i oczy błyszczące podnieceniem.

Podał jej ogień, a dziewczyna zaciągnęła się niezręcznie dymem.

— Czy to nie cudowne? — spytała z entuzjazmem.

— Wspaniale — przyznał Brady. — Kto właściwie wydaje to przyjęcie?

Rozszerzyła oczy ze zdumienia.

— Nie wie pan?!

Uśmiechnął się wesoło.

— Dopiero co przyjechałem do Londynu. Przypro-
wadzili mnie przyjaciele. Wszystko potoczyło się w błys-
kawicznym tempie.

— No tak, jasne — odpowiedziała. — Przyjęcie
wydaje Lucia. Lucia Davos. Zna ją pan?

Pokręcił głową.

— Chyba nie. Dopiero co przyleciałem ze Stanów.

— O, jest pan Amerykaninem? — Nastolatka uśmie-
chnęła się. — Lucia będzie zachwycona. Jeśli chce pan
ją poznać, jest w drugim pokoju. Śpiewa z muzykami.

Ktoś chwycił ją za nadgarstek i pochłonął ją tłum. Brady przepchnął się z powrotem do drzwi, wyszedł do hallu i wrócił do pokoju przy wejściu. Kiedy zatrzymał się na progu, minęła go młoda służąca w czarnym kostiumie i białym fartuszku, niosąca tacę pełną pustych szklanek. Oczy miała podkrążone ze zmęczenia i w Bradym obudziło się nagłe współczucie, gdy potrącił ją pijany mężczyzna i kilka szklanek spadło na podłogę.

Podniósł je prędko i postawił z powrotem na tacy.

— Nie wygląda pani zbyt dobrze — powiedział. — Da pani sobie radę?

Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

— Proszę się mną nie przejmować. Wszyscy i tak są już zalani. Pójdę do kuchni, odpocznę i zaparzę sobie mocnej herbaty.

Odeszła, Matthew zaś przestąpił próg pokoju. Trzyosobowy zespół muzyczny grał cichego, rytmicznego bluesa, a na fortepianie siedziała ze skrzyżowanymi nogami dziewczyna i śpiewała.

Jej niski, gardłowy głos nie miał w sobie nic nadzwyczajnego, lecz mimo to coś w nim było, coś kojarzącego się z nocą, a może późną jesienią. Coś rozpaczliwego, jakby ta dziedziczka olbrzymiej fortuny zdążyła się już zorientować, że tak naprawdę nie ma nic.

Krótko ostrzyżone włosy, brak makijażu i smukła sylwetka rysująca się pod włóczkową sukienką nadawały jej dziwnie chłopięcy wygląd. Kiedy skończyła, w pokoju rozległy się nierówne oklaski i ktoś zawołał:

— Śpiewaj dalej, Lucia!

Pokręciła przecząco głową.

— Może później. Teraz muszę się czegoś napić.

Zeskoczyła na podłogę, a muzycy zaczęli grać szybki, głośny utwór, który wprawił w drżenie ściany pokoju.

Na stoliku pod ścianą stała taca z kieliszkami martini; Matthew wziął jeden i przepchnął się ku Lucii.

Wybijała dłonią takt, oparta o fortepian. Kiedy podał jej martini, podziękowała i spojrzała nań, marszcząc lekko brwi.

— Nie znam pana — odezwała się po chwili.

— Przeprowadzili mnie przyjaciele — wyjaśnił. — Podobała mi się pani piosenka. Coś w niej było.

Miała nieco szkliste oczy i zorientował się, że wypła trochę za dużo.

— Jest pan Amerykaninem? — spytała.

Skinął głową.

— Tak, przyleciałem dzisiaj do Anglii. Przyjrzała mu się od stóp do głów, w dalszym ciągu marszcząc brwi.

— Już wiem, dlaczego wygląda pan tak dziwnie — zauważyła po pewnym czasie. — Jest pan jedynym mężczyzną w garniturze!

Matthew rozejrzał się szybko. Co najdziwniejsze, miała rację. Rzucił się straszliwie w oczy.

— Jak się nazywają przyjaciele, którzy pana przyprowadzili? — spytała ostro.

— Już dobrze, panno Davos — odparł, wzruszając ramionami, jakby kapitulował. — Myślę, że lepiej będzie postawić sprawę jasno. Chciałbym przeprowadzić wywiad z pani ojcem.

— Ach, dziennikarz... — Wypiła duszkiem martini. — Od razu podejrzewałam coś w tym stylu. Cóż, traci pan tylko czas. Ojciec nigdy nie udziela wywiadów, a zresztą nie ma go w tej chwili w Londynie.

— Czy mogłaby mi pani powiedzieć, gdzie się znajduje? — nalegał Brady. — Może zrobiłby dla mnie wyjątek? Miałbym numer na pierwszej stronie.

Popatrzyła mu prosto w oczy i odezwała się suchym, nieprzyjaznym tonem:

— Wie pan co? Zaczyna mnie pan nudzić. Na pana miejscu dopiłabym martini i wyszła.

Odwróciła się plecami, a Matthew skorzystał z chwili piekielnego hałasu, gdy muzycy grali finał utworu, i wtopił się w tłum. Wymknął się na korytarz i wrócił do salonu, zastanawiając się rozpaczliwie, co począć. Musiał się dowiedzieć, gdzie przebywa Davos, tylko jak?

Nagle rozległ się chór wesołych okrzyków i na desce zastępującej szynkwias postawiono młodą kobietę. Ktoś zaczął klaskać rytmicznie i reszta sali poszła za jego przykładem. Dziewczyna odznaczała się wyzywającą, wulgarną urodą i była wyraźnie wstawiona. Zaczęła się rozbierać.

Jej striptiz nie miał w sobie nic szczególnie artystycznego. Po prostu zdejmowała z siebie kolejne sztuki odzieży, jakby szykowała się do snu, i rzucała je zachwyconym widzom. Kiedy zaczęła rozpinać stanik, Matthew wyszedł z salonu. Stał w hallu, ignorując poryki tłumu, i nagle przypomniał sobie służącą.

Warto było spróbować. Skręcił w boczny korytarz wiodący na tyły domu, otworzył drzwi i znalazł się w dużej, rzęsiście oświetlonej kuchni.

Dziewczyna siedziała z wyciągniętymi nogami naprzeciwko kuchenki, trzymając w dłoni papierosa. Obróciła ze zdziwieniem głowę, po czym uśmiechnęła się lekko.

— O, to pan. Napije się pan herbaty? Matthew odwzajemnił uśmiech i zapalił papierosa.

— Chętnie. Trochę tu za głośno jak na mój gust.

Wręczyła mu filiżankę herbaty z mlekiem i cukrem.

— Szczerze mówiąc, od początku nie wyglądał pan na kogoś, kto się dobrze bawi.

Uśmiechnął się ponuro.

— Rzecz w tym, że nie przyszedłem tu dla zabawy. Jestem dziennikarzem. Mój szef zagroził, że jak nie zdobędę wywiadu z Miklosem Davosem, wyleje mnie z pracy. Właśnie dlatego wkręciłem się bez zaproszenia.

— Pan Davos na przyjęciu swojej córki?! — zaśmiała się dziewczyna. — To niemożliwe! Zresztą i tak nie udziela wywiadów.

— Wie pani, gdzie teraz jest?

Skinęła głową.

— Pojechał dziś rano na wyspę. Zdecydował się zupełnie nagle i musieliśmy wszyscy stawać na głowie.

— Na wyspę? — zdziwił się Brady.

— Tak, wyspę Shayling — wyjaśniła. — Leży w hrabstwie Essex, koło wioski rybackiej Harth, jakieś trzy kilometry od brzegu. Pan Davos ma tam posiadłość.

— Co to za miejsce?

Dziewczyna zadygotała.

— Koszmarna dziura. Zeszłego lata spędziłam tam parę tygodni, gdy przyjmował gości. Bez przerwy łało. — Uniosła się, a Matthew odstawił filiżankę na stół. — Ale to tylko strata czasu. Pan Davos pana nie przyjmie, nawet gdyby się pan tam dostał.

— Nigdy nic nie wiadomo — rzucił beztrąsko. — Mógłbym trafić na jego dobry dzień.

— Pan Davos nie miewa dobrych dni — zauważyła tajemniczo dziewczyna.

— Dzięki za herbatę — powiedział. — I za informacje. Chyba uratowała mnie pani przed utratą pracy.

— Nie byłabym tego taka pewna — odrzekła, a Matthew uśmiechnął się i zamknął drzwi.

Zabawa stawała się coraz bardziej rozpasana i w całym domu rozbrzmiewały krzyki i śmiechy. Matthew słyszał

je wyraźnie w nocnej ciszy, schodząc frontowymi schodami do auta i odjeżdżając.

Mgła zgęstniała, toteż na niektórych odcinkach trasy posuwał się do przodu w ślimaczym tempie, lecz dotarcie do cichego placyku w Kensington zajęło mu mimo to zaledwie pół godziny.

Zaparkował wóz i wbiegł szybko na górę. W mieszkaniu panowała ciemność. Stał chwilę pod drzwiami pokoju Anne, słuchając jej regularnego oddechu, po czym przeszedł do kuchni.

Był wściekle głodny i usmażył sobie jajecznicę na boczku. Kiedy przekładał ją z patelni na talerz, z tyłu rozległ się lekki szmer. Odwrócił się i ujrzał w drzwiach Anne.

Kończyła wiązać pasek szlafroka. Na twarz opadały jej kosmyki włosów, a oczy miała ciągle podpuchnięte i rozespiane.

— Chcesz coś zjeść? — spytał.

Pokręciła przecząco głową.

— Nie, napiję się tylko kawy.

Przygotował jej filiżankę mocnej czarnej kawy z cukrem, ona zaś usiadła po przeciwnej stronie stołu i patrzyła, jak je.

I nagle pojawiło się między nimi coś ciepłego i domowego, wyraźne przeczucie, że wszystko jest tak, jak zawsze być powinno. Zauważyli to oboje, lecz ich myśli pozostały nie wypowiedziane.

Uśmiechnęła się łagodnie.

— Wyglądasz na zmęczonego.

— Mam za sobą ciężki dzień — odparł z westchnieniem.

— Udało ci się odszukać tę Jane Gordon, o której mówiła Soames?

— Niestety, dotarłem do niej zbyt późno, ale w końcu i tak wszystkiego się dowiedziałem.

Zapalił papierosa i streścił pokrótce wydarzenia ostatnich godzin. Kiedy skończył, Anne siedziała w milczeniu, patrząc ponuro w przestrzeń.

— Co o tym sądzisz? — spytał.

— Myślę, że powinieneś iść na policję. Sprawy zaszyły już za daleko.

— Przecież w tej chwili prawdę zna tylko Davos — sprzeciwił się. — Uważasz, że się przyzna?

Zmarszczyła brwi, wyłamując nerwowo palce.

— A inne osoby zamieszane w tę sprawę? Na przykład Das i profesor Soames? Policja powinna coś z nich wyciągnąć.

Matthew pokręcił głową.

— Wykluczone. Nawet Soames nie miała pojęcia, dla kogo pracuje Jane Gordon. Muszę dotrzeć do Davosa i zmusić go do przyznania się do winy, nim trafię z powrotem do celi śmierci. To moja ostatnia szansa.

— A jak odmówi? Co wtedy zrobisz? Zabijesz go?

— Czemu nie? — rzucił z goryczą. — Ten bydlak z pewnością na to zasługuje!

Wstał i zaczął spacerować nerwowo po kuchni. Po chwili podszedł z powrotem do stołu. Anne siedziała ze spuszczoną głową; postawił ją na nogi i przytulił.

— Przepraszam, straciłem na moment panowanie nad sobą. Jestem zmęczony. Ty chyba też. Lepiej połóż się spać.

— A inspektor, który prowadził twoją sprawę? Zdaje się, że nazywał się Mallory. Nie mógłby ci jakoś pomóc?

— Ostatnim razem rzeczywiście cholernie mi pomógł — odpowiedział Matthew. Zaprowadził ją przez

salon do sypialni. — Nie myśl teraz o tym. Porozmawiamy rano.

— A ty? Wzruszył ramionami.

— Prześpię się na kanapie w salonie.

Weszła do łóżka, lecz na jej twarzy malowały się ciągle troska i napięcie.

— Pójdiesz na policję, prawda, Matt?

— Tak, oczywiście. Pochylił się i pocałował ją.

Jej ciepły, cudowny uśmiech utkwił mu głęboko w pamięci. Zgasił światło i zamknął cicho drzwi.

XI

Wrócił do kuchni, wypił drugą filiżankę kawy i odczekał, aż Anne zaśnie. Nie trwało to długo. Nasłuchiwał chwilę pod jej drzwiami, po czym włożył marynarkę i przeszedł z powrotem do kuchni.

Po krótkich poszukiwaniach znalazł blok czystych kartek i ołówek, a następnie usiadł przy stole, by napisać list do Anne. Zaczynał go dwukrotnie, lecz wreszcie zmiął papiery w kulę i cisnął w kąt. W istocie rzeczy nie zostało już nic do dodania.

Kiedy zamknął drzwi wejściowe i zszedł cicho na dół, dochodziła druga w nocy.

Otworzył auto, wyjął ze schowka mapę samochodową Anglii i położył na jej miejscu kluczyki. Było bardzo prawdopodobne, że nigdy nie zdoła się wydostać z Londynu, a nie chciał, by policja złapała go w aucie Anne. I tak naraził ją już na zbyt wiele przykrości.

Wskutek smogu widoczność spadła do kilkudziesięciu metrów. Kroczył prędko chodnikiem, wypatrując możliwych oznak niebezpieczeństwa.

Po półgodzinie, w wąskim zaułku koło Albert Hall, pierwszy raz w życiu dokonał kradzieży samochodu. Na

końcu ulicy stała zaparkowana niewielka odrapana furgonetka. Zamek w drzwiach był już wyłamany, lecz właściciel musiał zabrać ze sobą kluczyki. Matthew wszedł do szoferki, sięgnął pod deskę rozdzielczą, wyrwał stacyjkę i połączył druty. Zaraz potem ruszył ostrożnie naprzód.

Po pewnym czasie zatrzymał wóz w cichej bocznej uliczce i spojrzął na mapę. Znał dość dobrze hrabstwo Essex. Zaledwie trzy lata temu był kierownikiem budowy mostu koło Chelmsford.

Harth leżało nad Morzem Północnym, na czubku półwyspu przy ujściu rzeki Blackwater. Był to rzadko zaludniony region ze słabo rozwiniętą siecią komunikacyjną. Młoda służąca mówiła prawdę: wyspa Shayling znajdowała się około trzech kilometrów od brzegu.

Wepchnął mapę do kieszeni i odjechał. Wedle wskaźnika zużycia paliwa, w baku zostało zaledwie kilka litrów benzyny, lecz na razie skupił całą uwagę na prowadzeniu furgonetki. Drobne problemy mogły poczekać.

Na ulicach Londynu wciąż panował zdumiewająco duży ruch. Prawdopodobnie ludzie spóźnieni z powodu mgły, doszedł do wniosku Matthew. Opuściwszy centrum, starał się unikać głównych arterii. Pojechał w stronę Romford, a później ruszył autostradą do Chelmsford.

Za Romford odprężył się nieco, zapalił papierosa i skoncentrował na prowadzeniu. Mgła, choć nie tak gęsta jak w Londynie, utrudniała jednak jazdę. Po godzinie skręcił z głównej drogi i zapuścił się w labirynt wąskich szos wiejskich.

Zatrzymywał się często, by zerknąć na mapę, lecz mimo to w końcu zabłądził. Minął po ciemku kilka wiosek, a gdy we mgle załśniło wreszcie chłodne światło poranku, dotarł do Southminster.

Przejechał kilometr szosą do Tillingham, lecz w pewnej chwili silnik zaczął rżęzić, kaszlnął astmatycznie i zgasł.

Strzałka wskaźnika zużycia paliwa zatrzymała się na kresce oznaczającej trzy litry, lecz mogła się zablokować, toteż Matthew wysiadł i zajrzał do baku. Było w nim jeszcze trochę benzyny; podniósł maskę, by rzucić okiem na silnik.

Kiedy pochylał się nad nim, z mgły wyjechał na rowerze wiejski policjant z rozwianą peleryną. Zatrzymał się, oparł rower o żywopłot i podszedł do furgonetki.

— Pomóc? — spytał wesoło.

Matthew wsunął głowę jeszcze głębiej pod maskę.

— Poradzę sobie, dziękuję.

Jak to nazwał Joe Evans? Kajdaniarskie szczęście. Przypadek, który udaremnia każdy plan zbiega.

— Pan nie z tych stron, prawda? — zagadnął policjant.

— Nie, jestem tu tylko przejazdem — odparł Matthew.

Nastąpiła chwila ciężkiego milczenia, po czym policjant odezwał się:

— Czy mógłbym rzucić okiem na pańskie prawo jazdy?

— Niestety, nie mam go przy sobie.

Silnik kaszlnął nagle i ożył, a Matthew opuścił maskę.

— No, chyba już wszystko w porządku.

Ruszył w stronę szoferki, lecz policjant chwycił go za ramię i obrócił gwałtownie.

— Chwileczkę, jedną chwileczkę, proszę pana! Przy kro mi, ale... — Słowa zamarły mu w ustach; kompletnie

zbaraniał. — Nazywa się pan Brady! — wykrztusił. — Matthew Brady!

Silnik zgasł znowu i tym razem jego charkot miał w sobie coś ostatecznego, nieodwołalnego. Przez chwilę stali naprzeciwko siebie jak wrośnięci w ziemię, a później, poczuwszy na ramieniu zaciskające się palce policjanta,

Matthew grzmotnął go pięścią w tęgą, pocziwą twarz i pobiegł we mgłę.

Oddaliwszy się na bezpieczną odległość, przecisnął się przez żywopłot i popędził na przełaj przez zaorane pole. Dotarł do niskiego murku, przeszedł niezgrabnie na drugą stronę i biegł dalej. Po jakimś kilometrze zatrzymał się i osunął na ziemię pod drzewem w niewielkim zagajniku.

Nikt go nie ścigał; nie spodziewał się tego zresztą. Policjant siedział zapewne w tej chwili przy najbliższym telefonie; opatrywał rozciętą wargę i przekazywał meldunek zwierzchnikom. Za godzinę, co najwyżej dwie, rozpocznie się wielka obława z udziałem wszystkich sprawnych mężczyzn w okolicy. Znalazł się w pułapce. Z jednej strony pościg, z drugiej morze. Jedyne szansa polegała na przepłynięciu z Harth na wyspę Shayling.

Ruszył przed siebie, lecz mgła była tak gęsta, że już po godzinie stracił zupełnie orientację. Nie odczuwał zmęczenia, ale bolały go lekko mięśnie nóg i ssało w żołądku.

Postanowiwszy w końcu odpocząć, usiadł pod drzewem i wypalił ostatniego papierosa. Nagle w gałęziach zaszumiał wiatr, niosący rześki, słony zapach morza. Matthew zerwał się z miejsca, uradowany. Jeśli będzie szedł cały czas pod wiatr, dotrze do brzegu, a później plażą do Harth.

Posuwał się wolno naprzód, gdy wtem gdzieś po lewej rozległy się okrzyki. Odwrócił się, skulony, a ze mgły wyłonili się trzej mężczyźni, którzy stali na skraju lasu.

— Stój! Stój! — zawołał jeden z nich.

Kiedy Matthew rzucił się do ucieczki, gruchnął strzał i w gałęziach nad jego głową zaświszczały śruciny. Gdzieś z tyłu ujadał wściekle pies, lecz Brady biegł prosto przed siebie, przelazł przez kamienny murek i zapadł się po kostki w bagno.

Podążył do przodu. Torfowisko stawało się coraz głębsze, aż brnął po kolana w brunatnej wodzie. Kierował się nieco w lewo, przystając od czasu do czasu i nasłuchując odgłosów pościgu, lecz ucichły w końcu i został sam.

Zanim zobaczył morze, przez dłuższy czas słyszał szum fal rozbijających się o brzeg; wreszcie stanął na suchym gruncie, wspiął się na niską piaszczystą wydnię i wszedł na plażę.

Pobiegł truchtem po mokrym piasku. Zaczął padać deszcz, z początku lekki, później coraz bardziej ulewny, i wnet mgła jęła się przecierać.

Był już zmęczony i w pewnej chwili upadł. Kiedy wstał, drżały mu lekko nogi, lecz zmusił się do dalszego biegu.

Zaschło mu w ustach i czuł tępy ból w głębi czaszki za prawym okiem, ale podążał uparcie naprzód, bo nie miał wyboru. Pościg z pewnością nabrał już rozmachu. Nagle, ku swojemu zdumieniu, wbiegł po kolana w wodę. Plaża kończyła się i morze uderzało o niski klif.

Za skupiskiem poszarpanych skał stała solidna kamienna szopa na łodzie ze slipem opadającym w zielonkawą fale.

Po przeciwnej stronie małej zatoczki widać było krótki cypel, a jeszcze dalej na ołowianym niebie snuły się dymy wioski. Kiedy Matthew odwrócił głowę i spojrział w morze, dostrzegł w dali wyspę Shayling, ledwo widoczną za zasłoną deszczu.

Ześlizgnął się ze skał i skierował ku pochylni, brnąc po kolana w wodzie. Drewniana brama szopy nie była zamknięta na kłódkę; zresztą nie spodziewał się tego. Wioski rybackie są takie same na całym świecie. Łodzi nigdy się nie zamyka. Zbyt często bywają potrzebne do nagłych akcji ratowniczych.

Otworzył bramę na oścież i wszedł do środka. W szo-

pie znajdowała się ciężka rybacka łódź żaglowa, do której prowadzenia potrzeba było co najmniej trzech ludzi, lecz z boku stał także niewielki ket.

Wiatr przybrał na sile i fale pokryły się pienistymi grzywami. Matthew zepchnął żaglówkę z pochylni i osadził maszt. Wciągnięty żagiel wydał się z furkotem, a łódź zakołysała się, nabierając wody. Usiadł z boku, by zrównoważyć przechył, i w chwilę później wypłynął z zatoczki na Morze Północne.

Ostatni raz żeglował jeszcze jako chłopiec, podczas długich wakacji letnich koło Cape Cod, lecz nigdy przy takiej pogodzie. Kruchy ket nie był przystosowany do walki z żywiołem i tańczył dziko na fałach, stale nabierając wody.

Wkrótce Matthew był kompletnie przemoczony i zziębnięty. Ścisnął kurczowo rumpel, gdy tymczasem wichura wciąż przybierała na sile, a krótkie ostre fale tłukły groźnie w burty łodzi.

Wyspa, widoczna w strugach deszczu, stawała się coraz większa. Ukazały się olbrzymie, urwiste klify, u których stóp rozbijało się z hukiem morze.

Nie było ani śladu miejsca, gdzie można by przybić. Matthew usiłował zrobić zwrot i płynąć wzdłuż brzegu, lecz wiatr okazał się zbyt porywisty i nagle łódź znalazła się niespełna sto metrów od poszarpanych skał.

Zrzucił czym prędzej żagiel i sięgnął po wiosła, ale było już za późno. Żaglówkę porwała olbrzymia fala i poniosła, bezradną, ku wyspie.

Łódź, miotana kapryśnymi prądami przybrzeżnymi, zawirowała wokół własnej osi i nagle coś zaszorowało głucho o dno. Z lewej burty trysnęła w górę fontanna białej piany; po chwili fala cofnęła się i spod wody wynurzyły się szare głazy.

Jeden z następnych grzywaczy uniósł ket, który wspiął się bokiem na szczyt fali i rozbił z trzaskiem o ogromną zielonkawą płytę skalną. Matthew wypadł za rufę i zniknął w wirującej pianie.

Usiłował wstać. Wokół pojawiały się i zniknęły ogromne glazy, przez które przetaczały się fale. Nagle poczuł, jak porywa go jakaś niepowstrzymana siła i przenosi nad kamieniami ku podstawie urwiska.

Woda cofnęła się z przeraźliwym szumem, a Matthew wsparł się na hałdzie żwiru i uniósł z wysiłkiem na kolana.

Podążył naprzód, gramoląc się rozpaczliwie przez glazy. Następna fala oblała go po pas, oplatając tysiącami macek próbujących wciągnąć go z powrotem w morze. Uczepił się szczeliny w skale i nie puścił.

Kiedy fala odpłynęła, przeszedł z trudem ostatnią linię nierównych kamieni. Po chwili był już bezpieczny na wąziutkiej plaży u stóp klifu.

Usiadł, ściskając dłońmi głowę, a świat zawirował, roztapiając się w ryku morza. Czuł w ustach słony smak i zwymiotował, wyrzucając z żołądka przeszło litr wody.

Po chwili wstał i spojrzał na wznoszące się nad nim urwisko. Miało nie więcej niż dwadzieścia metrów wysokości i zakrzywiało się łagodnie w stronę lądu, pocięte głębokimi żlebami.

Wspinaczka okazała się stosunkowo łatwa, lecz Matthew był już zmęczony — bardzo zmęczony. W dalszym ciągu szumiało mu w uszach, a wszystko miało w sobie coś nierzeczywistego, jakby przytrafiło się komuś innemu.

„Co ja tu właściwie robię?” — spytał się w duchu. Odpowiedzi nie było. Rozpaczliwie usiłował ją sobie przypomnieć, aż wreszcie dotarł do szczytu urwiska i położył się na brzuchu na mokrej trawie.

XII

Po chwili rozchylił powieki i zobaczył koło swojej twarzy czyjeś buty, wykonane z kosztownej, ręcznie wytłaczanej skóry. Usiłował wstać, lecz powstrzymało go głucho, ostrzegawcze warknięcie przypominające daleki, przytłumiony grzmot.

Przewrócił się na plecy, popatrzył do góry i ujrzał Mikłosa Davosa. Miał on na sobie długą kurtkę myśliwską z futrzanym kołnierzem i przekrzywiony na bakier zielony tyrolski kapelusz. Pod pachą trzymał dubeltówkę.

Źródłem groźnych odgłosów okazał się czarny podpalany doberman, który skoczył z płonącymi ślepiami ku Brady'emu.

— Leżeć, Kurt! Leżeć! — zawołał Davos. — Ze strony naszego gościa nic nam chyba nie grozi. Nie wygląda zbyt kwitnąco.

Przykucnął ze strzelbą na kolanach i wyjął dużą metalową manierkę obciążoną skórą.

— Przez ostatnie pół godziny obserwowałem pańską łódź. Nie miał pan łatwej żeglugi. Dobrze panu zrobi trochę brandy.

Matthew był zbyt zmęczony, by odpowiedzieć.

Przyjął

manierkę, przełknął haust palącego trunku i rozkaszał się gwałtownie.

Poczuł przyjemne ciepło rozchodzące się po ciele. Pociągnął następny łyk i po chwili przyszedł nieco do siebie.

Davos zapalił tureckiego papierosa i uśmiechnął się.

— Mam nadzieję, że wkrótce odzyska pan formę, przyjacielu. Zabawa z trupem to żadna przyjemność.

— Ty podły draniu! — wykrzyknął Brady.

Na śniadym, posępnym obliczu pojawił się sardoniczny uśmieszek.

— Ach, więc tli się jeszcze w panu iskierka życia! Bardzo mnie to cieszy. Zapali pan?

Matthew przyjął papierosa i pochylił się nad zapalniczką. Zastanawiał się przez moment, czy nie skoczyć na Davosa, lecz doberman warknął groźnie, jakby czytał w jego myślach.

Brady skapitulował. Zaciągnął się papierosem i kaszlnął lekko, podrażniwszy sobie gardło gryzącym tureckim tytoniem, a Davos odezwał się:

— Tak przy okazji: od zeszłego wieczoru nie mam żadnych wiadomości od Harasa, toteż domyślam się, że żadnych wiadomości nie będzie, prawda?

— Przykro mi, ale przytrafił mu się groźny wypadek. Powinien był uważać, gdzie stawia stopę.

— W ciągu ostatnich dwóch dni radził pan sobie zdumiewająco dobrze — stwierdził Węgier. — Kiedy się dowiedziałem, iż uciekł pan z więzienia w Manningham i wymknął się Harasowi, od razu zacząłem przeczuwać, że się jeszcze spotkamy.

— Wstąpiłbym za panem choćby do piekła! — rzucił Matthew.

— Do piekła? Przecież tam jest za tłoczno, przyjacielu! — Davos uśmiechnął się łagodnie. — Ja nie uważałem tego nigdy za sprawę osobistą, Brady.

— Wiem — odpowiedział ze znużeniem Matthew. — Byłem po prostu pierwszym lepszym pijakiem na ławce nad Tamizą.

— Zgadza się — przyznał Davos. — Gdyby wykonano na pana wyrok śmierci, sprawa byłaby zakończona. Niestety, zamieniono go na dożywocie.

— Musiało to pokrzyżować panu szyki.

— Tak, to prawda — ciągnął Davos. — Mordercy, wobec których zastosowano prawo łaski, odsiadują zwykle w Wielkiej Brytanii co najwyżej siedem lat. Anglicy to taki humanitarny naród.

— Więc postanowił pan wykonać pierwotny wyrok sądu.

— Nie miałem wyboru. — Davos wzruszył ramionami. — Istniało duże prawdopodobieństwo, że zobaczy pan gdzieś moją twarz i rozpozna ją. Może na fotografii w gazecie albo czasopiśmie? Jak nie w tym roku, to w przyszłym albo za dwa lata. Nie mogłem pozwolić, by coś takiego wiecznie zagrażało memu spokojowi.

Matthew cisnął niedopałek w przepaść. Był zmęczony, tak zmęczony, że coraz trudniej przychodziło mu się skupić.

— I co teraz? — spytał.

— Intrygująca sytuacja, nieprawdaż? — uśmiechnął się Davos. — Tylko pan i ja, oczywiście nie licząc Kurta. Wczoraj po przyjeździe odesłałem służącego z żoną na ląd.

Węgier wyprostował się, a Matthew uniósł się z wysiłkiem i stanął naprzeciwko niego, chwiejąc się lekko na nogach.

— Więc co to będzie? Strzał w plecy?

— Skądże znowu, drogi przyjacielu! To byłoby niesportowe! — Davos poklepał psa, który zaskomlał niespokojnie. — Dobermany to doprawdy cudowne zwierzęta, Brady. Dobrze wytresowany osobnik potrafi zagryźć człowieka w niespełna minutę.

— Tempo godne podziwu — odparł Matthew.

— W samej rzeczy. — Davos cofnął się i uniósł strzelbę. — Uważam, że jeśli dojdzie pan do tamtego murku na szczycie wzgórza, będzie pan miał wystarczające fory. Jest co najmniej siedemdziesiąt metrów stąd.

— Chciałbym zostać z panem na dwie minuty sam na sam — rzekł gorzko Brady. — Tyle by mi wystarczyło.

— Niech pan lepiej już idzie — powiedział Davos. — Moja cierpliwość się kończy.

Matthew ruszył powoli w górę stoku. Był kompletnie wyczerpany i nogi ciążyły mu jak ołów.

W pewnej chwili przystanął i obejrzał się za siebie. Davos czekał, trzymając psa za obrozę.

— Musi się pan bardziej starać, Brady! — zawołał.

Jak scharakteryzowała go matka Jane Gordon? *Zwyrodnialec, brutalny sadysta nieustannie poszukujący nowych podniet.* Matthew poczuł ogarniającą go falę gorąca i nagle zawrzał w nim ślepy atawistyczny gniew, który napełnił mu znużone ciało świeżą energią. Wspiął się prędkim krokiem na wzgórze i przeszedł przez niski kamienny murek.

Doberman, poszczuty przez Davosa, zawył krótko, a Matthew pobiegł łagodnym zboczem w dół ku zalesionej dolince. Miał w najlepszym razie trzy, może cztery minuty. Dotarł do jodłowego młodniaka i popędził na oślep między drzewami, chłostany po twarzy przez gałęzie.

Przedzierał się do przodu, osłaniając głowę ramieniem, aż nagle potknął się, upadł w mokre paprocie i stoczył się do płytkiego strumienia.

Przeszedł nim kilkadziesiąt metrów, rozchlapując udami brunatną wodę, aż wreszcie koryto pogłębiło się w miejscu, gdzie potok wpadał do okrągłego jeziora.

Matthew przepłynął na drugą stronę i wygramolił się na stromy, kamienisty brzeg usłany dużymi głazami.

Gdzieś niedaleko rozległo się ujadanie dobermana przedzierającego się przez chaszczę. Brady zaczął pośpiesznie ściągać przemoczoną marynarkę. Ledwo ją zdjął, pies wypadł z krzaków po drugiej stronie jeziora, skoczył do wody i popłynął prędko ku niemu.

Matthew odczekał, aż doberman znajdzie się metr od brzegu, po czym zarzucił mu marynarkę na leb. Pies stanął na tylnych łapach, warcząc i usiłując się wyswobodzić, a Brady chwycił kamień wielkości głowy ludzkiej, wszedł niezgrabnie do wody i z całych sił uderzył nim w szamocący się kształt.

Rozległ się straszliwy trzask łamanych kości. Doberman zaskomlał prawie ludzkim głosem i szarpnął się rozpaczliwie. Matthew znów walnął go kamieniem i szamotanina ustała.

Wyszedł z wody, łapiąc z trudem oddech, i wgramolił się po śliskich głazach na równiejszy grunt. Najważniejsze zadanie polegało teraz na dotarciu do domu przed Davosem. Musiał tam być pistolet albo inna broń.

Czując w ustach smak krwi, przedzierał się pod górę między jodłami, aż wyszedł na dużą płaską polanę zajęta przez szkółkę leśną. Po drugiej stronie widać było kamienne ogrodzenie. Kiedy ruszył do przodu, usłyszał gniewny okrzyk i w odległości około czterdziestu kroków po lewej wypadł spośród drzew Davos.

Węgier pędził ze zdumiewającą szybkością i strzelił w biegu z jednej z luf dubeltówki. Matthew dotarł już prawie do ogrodzenia. Skulił się mimo woli, słysząc świst śrucin przelatujących nad głową, po czym przelazł prędko przez mur i puścił się biegiem, klucząc rozpaczliwie.

Przebył zaledwie dwadzieścia metrów, gdy Węgier znalazł się przy ogrodzeniu i dał ognia z drugiej lufy. Matthew krzyknął rozdzierająco, stracił równowagę

i spadł koziółkując ze zbocza, aż zatrzymał się prawie na skraju urwiska nadmorskiego. Leżał na wznak, czując kamień wrzynający się nieprzyjemnie w plecy.

Davos spudłował, lecz kilka śrucin ugodziło Brady'ego w lewy bark i ramię. Usiadł z twarzą wykrzywioną bólem; rękaw miał poplamiony krwią.

Davos zszedł ze stoku, zbliżył się i zatrzymał w odległości kilku kroków. Był blady z wściekłości; na policzku drgał mu nerwowo mięsień.

— Mógłbym ci wybaczyć wiele rzeczy, ale nie tego psa! — syknął. — Nie Kurta!

Nagle, mniej więcej czterysta metrów od wyspy, pojawił się nad morzem helikopter, którego jaskrawożółty kadłub odcinał się wyraźnie od ołowianego nieba. Davos nie zwrócił uwagi na warkot maszyny. Nie spuszczać oczu z Brady'ego, złamał dubeltówkę i wyjął z kieszeni na piersi dwa świeże naboje.

Kamień leżący na ziemi miał rozmiary piłki tenisowej. Matthew zacisnął na nim prawą rękę i z całych sił rzucił go prosto w twarz Węgra.

Trafił w lewe oko. Davos upuścił z krzykiem dubeltówkę, a Brady zerwał się i skoczył ku niemu. Rozwścieczony Węgier zamachnął się dziko i huknął go pięścią prosto w usta.

Matthew nie zważał na ból i atakował dalej, zapomniawszy o zranionym lewym ramieniu, zapomniawszy o wszystkim oprócz jednego: że musi wdeptać Davosa w ziemię.

Poczuł bolesne uderzenie w obojczyk, lecz znalazł się już dostatecznie blisko. Uniósł prawe kolano i kopnął Davosa w podbrzusze, a potem w twarz. Węgier runął na ziemię, spadł z krawędzi urwiska i zsunął się po kamienistym zboczu na plażę.

Matthew był bliski omdlenia. Usiadł na trawie, dysząc ciężko, gdy tymczasem nad szczytem wzgórza zawisnął na moment helikopter, po czym wylądował.

W otwartych drzwiczkach w kadłubie ukazał się najpierw umundurowany policjant, a później inspektor Mallory, który zeskoczył na ziemię i pobiegł z kapeluszem w rękę pod obracającymi się łopatami.

Matthew nie miał ochoty się z nim spotkać. Odwrócił się i zjechał na plecach z urwiska, pociągając za sobą lawinę kamyków, aż wreszcie wylądował na kupie piasku.

Davos biegł ociężale wzdłuż brzegu w stronę skalistego cypla na skraju następnej zatoczki. Matthew zerwał się z miejsca i popędził za nim.

Węgier usłyszał go. Obejrzał się za siebie, po czym zszedł wolno do morza i zaczął obchodzić cypel.

Kiedy Brady się z nim zrównał, znajdowali się po pas w wodzie. Davos nie miał już sił się bronić. Matthew chwycił go oburącz za gardło, a Węgier wydał z siebie zduszony okrzyk i zaczął szamotać się rozpaczliwie.

— Masz się przyznać, ty łajdaku! — wrzeszczał Brady. — Masz się przyznać!...

Szumiało mu w uszach i dusił coraz mocniej. Zmasakrowana twarz Węgra zniknęła pod wodą, gdy nagle Matthew poczuł, jak odciągają go czyjeś silne dłonie, i usłyszał Mallory'ego, który krzyczał mu do ucha:

— Już wszystko w porządku, Brady! Wiemy wszystko!

Inspektor stał po pas w wodzie z połami płaszcza unoszącymi się na falach, tak że przywodził na myśl wielkiego ptaka z rozpostartymi skrzydłami. Davosa trzymało pod ręce dwóch policjantów.

Mallory ujął Brady'ego za ramię i wyprowadził na brzeg. Weszli na wąską plażę i Matthew osunął się na

piasek koło dużego kamienia. Czuł się kompletnie wyczerpany, lecz umysł miał krystalicznie jasny. Inspektor przykucnął i obejrzał jego ramię.

— Brzydko to wygląda. Chyba nie zaszkodziłoby panu kilka tygodni w szpitalu.

— Nieważne — odparł Matthew. — Niech pan mi lepiej powie, jak pan zdemaskował Davosa.

— Dziś o piątej nad ranem skontaktowała się ze mną pańska znajoma, panna Dunning. Zorientowała się, że pan wyjechał.

— I uwierzył jej pan?

Mallory pokręcił przecząco głową.

— Dała mi tylko do myślenia. Kiedy ją przesłuchiwałem, zatelefonowano do mnie z Guy's Hospital. Posłałem tam policjanta, który siedział przy łóżku pani Rose Gordon i czekał, aż odzyska przytomność.

— Przecież Haras trafił ją w głowę! — zawołał zdumiony Matthew. — Widziałem na własne oczy!

— Tylko ją drasnął — sprostował inspektor. — Złożyła bardzo interesujące zeznanie, a ja natychmiast zwróciłem się o pomoc do RAF-u.

— Helikopter był bardzo efektowny.

Mallory uśmiechnął się.

— Odlecieliśmy z lądowiska South Bank. Chciałem jak najszybciej tu dotrzeć. Bałem się, że zdąży pan wcześniej załatwić Davosa.

Obok stoczyła się z urwiska lawina drobnych kamieni. Gdy Matthew uniósł głowę, Anne Dunning przejechała ostatni metr dzielący ją od plaży. Była ubrana w płaszcz od deszczu i chustkę; wyglądała blado i mizernie.

Inspektor wstał.

— Pomogę zaprowadzić Davosa na górę. Wrócę po pana za parę minut.

Odszedł, Anne zaś zbliżyła się do Brady'ego i przykucnęła obok. Zdjęła chustkę i zaczęła bandażować mu ramię i bark.

— Nie powinienes odjeżdżać bez uprzedzenia — powiedziała z wyrzutem.

— Nie miałem wyboru — odparł. — Nie zapominaj, myślałem, że pani Gordon nie żyje. A poza tym nie chciałem jeszcze bardziej cię w to wplątywać. Sprawa nie przedstawiała się najlepiej.

Przyglądziła mu dłonią rozczochrane włosy.

— Wyglądasz, jakbyś dużo przeszedł.

— Już po wszystkim, a to najważniejsze. Masz papierosa?

Wyjęła pogniecioną paczkę. Podając mu zapalonego papierosa, spytała z wahaniem:

— I co teraz zamierzasz?

— Chyba pojedę do Bostonu. Przyjmę pracę zaproponowaną przez szwagra. Mam już Anglii powyżej uszu.

Spojrzała z nieszczęśliwą miną w morze, a Matthew otoczył ją ramieniem.

— Pojedziesz ze mną?

Odwróciła się gwałtownie, a w jej oczach niespodziewanie błysnęły łzy.

— Do licha, Matt, już myślałam, że nigdy mi tego nie powiesz!...

Przytulił ją mocno do piersi, a wysoko na niebie zakwiliła mewa; dała nurka w dół, śmignęła im nad głowami i odleciała ku morzu.